Zeszyt II. Luty

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

PISMO

naukowe i literackie.

LWÓW
DRUKARNIA POLSKA
1886.

TREŚĆ.



KUSICIEL

NOWELLA

MICHAŁA WOŁOWSKIEGO.



(Dokończenie.)

W czarnym tym domu znajdował się lokal wspaniały, pięknie umeblowany i dobrze strzeżony, w którym rezydował człowiek z nazwiskiem znanem nietylko w całej Irlandji, lecz i w Anglji, a tu i tam wspominany z pogardą. Spełniał on rolę inkwirenta w dublińskiej cytadeli.

James Tentator przedstawiał się jako mała, obrzydliwa figurka, z czubem zaczesanym do góry i dwoma nasuniętymi na skronie kosmykami włosów, z nosem w kształcie kartofla, wzrokiem lisim, przebiegłym, z twarzą szpetnego wyrazu, którą gwałtownie chciał przybrać w uśmiech dobrotliwy, co czyniło ją jeszcze wstrętniejszą, z wystającemi i ostro rysującemi się kośćmi na policzkach, przedstawiał on taki typ uosobionej złości, iż daremnie byś szukał drugiego takiego okazu.

Master James był niegdyś parobkiem u jednego z farmerów irlandzkich; spryt miał potężny, pragnienie wywyższenia się olbrzymie, a że nie widział sposobu dojścia do wysokiego znaczenia i karjery u swoich, poszedł w służbę do nieprzyjaciół swej ojczyzny. Nieprzyjaciele wiedzieli dobrze, iż aby zniszczyć i zdusić bunt, trzeba mieć do tego narzędzie; narzędziem takiem można gardzić, ale je mieć trzeba. Lord major, gdy się witał z inkwirentem dublińskim, miał zawsze rękę okrytą rękawiczką; lordowie z parlamentu odwracali się do niego plecami, ale James Tentator przywykł do tego, drwił też sobie ze wszystkich i coraz staranniej napełniał swoje kieszenie funtami. Funty starczyły mu za wszystko, o nic więcej nie dbał, a sprytu swego i nikczemności używał na to, aby dowieść wrogom swojego społeczeństwa, że im jest potrzebny.

Tuż pod tym wspaniałym apartamentem była wielka izba, w której bocznych ścianach znajdowało się kilka drzwiczek niewielkich, ze szklannemi okienkami zamurowanemi od wnętrza. Na środku izby stał

stół, pokryty mnóstwem papierów zszytych w grube tomy, na nim Chrystus na krzyżu rozpięty, a od ściany krzeseł kilka.

W języku więziennym izba ta nazywała się „kusicielką.“ Gdyś się w niej bliżej rozpatrzył, to nawet Chrystus rozpięty na krzyżu zdawał się uśmiechać szydersko; twarzą był zwrócony do inkwirenta siedzącego za stołem, do niego też pewnie tak dziwnie się uśmiechał.

Kusicielka była kancelarją master James'a Tentatora. Nie miał on tutaj stałych godzin przyjęcia, przybywał kiedy chciał i jak chciał; przy bocznym tylko stoliku siedział suchy i zwiędły pisarz, bezustannie skrobiąc piórem po papierze, gotów do pisania protokułów z irlandzkich zbrodniarzy na każde zawołanie swojego pryncypała. Nie wychodził nigdy z tej czarnej komnaty, w niej spał jak się zdarzyło, w niej mieszkał i w niej spełniał rozkazy.

Irlandja jest krajem niebezpiecznym dla takich osobników, farmerzy strzelają celnie, i strzały ich rzadko kiedy zawodzą; wiedział o tem doskonale pisarz master James'a i dla tego w izbie swej żył, niby kret w norze.

Patryk od kilku już dni znajdował się w podziemiach cytadeli. Z początku spodziewał się, że go do tej czarnej izby zawezwą, i układał plany jak się przed śledztwem tłumaczyć będzie; lecz przez tydzień cały nie dopytywano się o niego wcale, a przez parę dni prócz kawałka śledzia nie przyniesiono mu żadnego innego pokarmu; chciał pić, nie dano mu wody, chciał spać i spać nie pozwolono, co chwila bowiem wpadał któryś z angielskich policjantów i oglądał go, jakby się chciał przekonać, czy jeszcze żyje. Patryk czuł że słabnie, nerwy drgały w nim niespokojnie, gorączka paliła wewnątrz i przyszła chwila, w której zapragnął umrzeć.

Ale chęć śmierci nie trwa długo w młodych piersiach; właśnie gdy marząc o Nelly, chciał pożegnać mizerną skorupę ziemską i kawałkiem zdobytego postronka przerwać dni swojego życia, otworzyły się nagle drzwi i z ust wchodzącego stróża prawa i bezpieczeństwa wybiegł rozkaz:

— Do inkwirenta!

Patryk rozumiał ten okrzyk, wiedział o jego znaczeniu i zadrżał; przez myśl mu przebiegły wszystkie opowieści straszne, jakie o tej inkwizycji słyszał, wszystkie środki jakich tam miano używać dla wydobycia prawdy z ust podejrzanych, a jednak rad był, że choć na chwilę wysunie się ze swojej nory, zobaczy inne twarze i zapomni o swych dręczycielach.

Zerwał się więc na równe nogi, a choć czuł się tak słabym, że musiał się opierać o ścianę, nie poszedł, ale raczej powlókł się do owej izby, o której tylko co wspomnieliśmy. Szedł zwolna, postępując za

swym przewodnikiem, przeszedł wiele sal i kurytarzy i zatrzymał się w końcu przed ową kusicielką.

— Czekać! — ozwał się głos policmena.

Tuż obok drzwi wchodowych stała ławka, osunął się prawie na nią Patryk, lecz niedługo czekał na powrót anonsującego lokaja, który powrócił i wnet do inkwirenta go zawezwał.

Gdy Patryk wszedł do izby, którą znał zaledwie z tradycji, przypomniały mu się znowu wszystkie legendy o strasznych dziejach samego pokoju i siedzącego w nim inkwirenta. Dreszcz przebiegł jego członki, a ręka mimowoli podniosła się do czoła i uczyniła nad niem znak krzyża. James od stołu bystrym rzucił okiem na wchodzącego, krzyż uczyniony dojrzał i w tejże chwili jakby nakręcona maszynka, począł odmawiać jakąś modlitwę. Biegła ona z ust tego komedjanta płynnie i wyraźnie, tak iż Patryk mógł ją słyszeć i rozumieć, a akcentowane słowa mogłyby nieświadomego rzeczy naprowadzić na myśl, że master James należy do najpobożniejszych ludzi pod słońcem. Patryka nie złudziła ta żarliwa modlitwa, uśmiechnął się tylko szyderczo pod wąsem i z lekceważeniem spojrzał na faryzeusza.

— I nie wodź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen! — ozwał się głośno James i litościwem okiem spojrzał na przybyłego. — Taki młody, taki dorodny i taki dzielny człowiek, a oddał się w ręce szatana!

Patryk na wspomnienie złego ducha przeżegnał się mimowoli po raz drugi.

— Powiedz mi mój chłopcze — ozwał się znów master James — jak wy się Boga nie boicie? Gdzie u was sumienie, religja, Bóg, który wszystkiem rządzi? Jak można się dopuszczać tak ohydnych czynów, za które każdy z was po uszy w piekle siedzieć będzie!... Jedno jest tylko zbawienie: wyznać prawdę, powiedzieć wszystko, a wówczas najwyższy i dobrotliwy Bóg przebaczy.

Patryk odzyskał już zimną krew i odparł:

— I cóż mam panu powiedzieć? Nie wiem za co zostałem uwięziony i za co mnie tutaj męczą?

— Męczą! — odezwał się master James z oburzeniem — ośmielili się ciebie męczyć? Dali ci może śledzia, odmawiając jednocześnie i kropli wody, że też nie mogę nigdy dać sobie rady z tą służbą niesforną! Rozumiem męczyć starych, upartych, ale takiego dzielnego chłopca jak ty, po co? dla czego? Bądź spokojny, odtąd sam się już postaram byś miał codziennie doskonały kieliszek whisky.

Patryk się uśmiechnął, James'owi wydało się, że natrafił na czułą strunę badanego. Około ust zarysował się mu uśmiech radości.

— Lubisz whisky? — zawołał — i dziewczęta także, nieprawdaż? He, he, rozumiem to doskonale! byłem i ja młody, umiałem się bawić i pojmuję twój żal i oburzenie, gdy cię zamknięto w tej przeklętej dziurze. Na to jest jedna tylko rada, powiedz wszystko otwarcie, a zaręczam, że włos z głowy ci nie spadnie. Powrócisz do swego whisky i do ładnych dziewcząt.

— Nie rozumiem pana — odrzekł poważnie Patryk.

— Nie rozumiesz, kotku? nie rozumiesz? A kto górali namawiał do spisku? kto na tyłach armji miał zamiar zrobić powstanie?

— Nie wiem, czy tak było.

— Mamy na to dowody. Stary Job od zachodu, Tom syn jego od południa, a ty od północy przygotować mieliście spisek; wszystko wiem, jak widzisz, wiem tak dokładnie, jakbym był między wami, kiedyście się do niego przygotowywali.

— Nie znam starego Joba ni Toma — odparł spokojnie, lecz stanowczo Patryk.

— Nie znasz? — z chytrym uśmiechem powtórzył James Tentator — a więc nie znasz również ładnej jego córki Nelly? A szkoda! jakie ramiona u tej dziewczyny, a jakie łydki, co?!

Patryk zadrżał cały, pięść zacisnął tak silnie, że aż paznogcie pokrwawiły mu dłonie, ale nie odrzekł ani złowa. Dziki wzrok swój wpił w usta mówiącego, uszów nadstawił i... słuchał.

— Nie znasz? — powtórzył raz jeszcze James — patrzaj, jak ciebie obmówili ludzie; no, ale jeżeli nie znasz tej, to znasz przecie inne dziewczęta?

Tu James wstał z krzesełka i naśladując kroki dandysów z rękami w kieszeniach, począł przechadzać się po pokoju. Patryk milczał. Minęła dobra chwila, gdy James uderzając nareszcie po ramieniu indagowanego, roześmiał się szatańskim śmiechem.

Śmiech ten znów do szpiku kości wzburzył Patryka, spojrzał jednak śmiało na kusiciela i czekał co mu jeszcze nowego powie.

— Niech djabel weźmie! klnę się na świętego Wawrzyńca, że ci tam w celi okropnie musi być niewygodnie, ciasno, chłodno i głodno, słono i pieprzno, a słudzy jej królewskiej mości nie odznaczają się zbytnią dobrocią serca, jak np. ja, którybym ci rad nieba przychylił. Wiem ja co to młodość: grogu i whisky za kołnierz nie wylewałem, za dziewczętami przepadałem tak pewnie jak i ty, mój chłopcze, do którego się świat uśmiecha. Jej królewska mość da ci funtów sporo, będziesz mógł używać życia, ile ci się tylko spodoba, gdyż wypuszczę cię zaraz z więzienia i będziesz sobie bujał jak ptak wolny...

— Wolny!... — powtórzył Patryk i uśmiechnął się mimowoli.

— Tylko...

— Tylko?...— podchwycił Pytryk.

— Przyznaj się do wszystkiego, powiedz prawdę, kto cię namawiał do wędrówki, w której agitowałeś napad na tyły armji królewskiej, wówczas gdy la Hoche wyląduje? Ja mam wszystko w ręku, wszystko wiem, nikomu tem nie zaszkodzisz i nie pomożesz. Sam jestem Irlandczykiem, kocham Irlandję i dałbym się posiekać za nią w kawałki, ale trzeba raz zrozumieć, że prawdziwe jej dobro leży jedynie w związku z królestwem Wielkiej Brytanji. Będziemy razem pracowali dla jej przyszłości.

— Kto? ja z panem? Nigdy! — zawołał Patryk, prostując się dumnie.

— Ot, to rozumiem: jesteś człowiekiem odmiennych odemnie przekonań, ale jeżeli masz przekonania, jeżeli nie jesteś tchórzem, toś odrazu powinien powiedzieć wszystko.

Patryk, gdy usłyszał wyraz „tchórz“, wzdrygnął się cały i znów zębami zgrzytnął.

— I to ci się nie podoba? Ha, trudno; musisz zadyndać, braciszku! Biedna Nelly! Biedna twoja matka!

Dwa te imiona dziwne zrobiły wrażenie na Patryku. Ręce febrycznie drżeć mu zaczęły, kolana uginały się pod nim, a dla James'a Tentator'a nie trudno było odgadnąć, że wymawiając je, trafił w czułą strunę młodzieńca. Ciągnął więc dalej:

— Ha, trudna rada! smutna będzie ich dola: matka umrze z głodu, bo któż na nią pracować będzie? a dziewczyna zamartwi się na śmierć za takim pięknym chłopcem. Pfe, pfe, co to sa smutny będzie widok, gdy ci stryczek na szyję założą.

— Szatanie, nie kuś mię! — syknął przez zęby Patryk, a James Tentator tym razem już zamilkł, twarz jego rozjaśniła się, z podełba rzucał co chwila oczami na mieniącą się twarz Patryka, znów usiadł na stołku i nic nie mówiąc, począł zajadle pisać dalej. Wyjął następnie chustkę z kieszeni i od czasu do czasu pisanie swoje przerywał przykładaniem jej do oczów.

Miało to znaczyć, że James Tentator jest wzruszony i ociera łzy żalu.

Patryk niespokojnie spoglądał na tę nową komedję, niespokojnie śledził każdy ruch pióra kusiciela inkwirenta, drżał na całem ciele i czekał, co mu dalsza chwila przyniesie.

Po kwadransie szybkiej bieganiny piórem po papierze, James Tentator zatrzymał się; pióro gęsie do ust włożył, gryzł je gwałtownie i rozpoczął czytanie tego co napisał, częściej tylko jeszcze przerywając sobie przykładaniem chustki do oczów.

Gdy już czytanie skończył, pióro z ust wyjął i niby niespokojnie w palcach je kręcił.

— Z czego żyć będzie ta twoja matka — szepnął — jak przeklnie twą pamięć piękna Nelly; chwilka jeszcze... podpiszę, a jutro już cię na świecie nie będzie. Chcę cię ratować dla nich, dla nich tylko, bo jak widzą, dla ciebie samego życie nie wiele warte. No, jakże, czy mam podpisać?

Tu James Tentator zamachnął piórem, jakby chciał podpisywać gotowy protokół.

— Stój pan! — zawołał gwałtownie Patryk, chwytając go za rękę. — Moja matka! moja Nelly! Czego pan chcesz odemnie?

— Poczciwym synem jesteś — zawołał roztwierając ramiona James. — Takie serce to rozumiem — tu znów otarł oczy chustką.

Zimny pot wystąpił na czoło Patryka, oczy dziko mu pałały.

— Mów pan, czego żądasz? — zawołał porywczo.

— Drobnostki!... Nazwisk twych wspólników; nawet nie nazwisk: znam je wszystkie, a tylko świadectwa ocznego, że byli zbrodniarzami. Pomyśl tylko co to za zaszczyt: będziesz „świadkiem korony!“

Patryk zdrętwiał, nie znajdując słów do odpowiedzi.

— Twoja matka... — powtórzył raz jeszcze z naciskiem Tentator.

— A więc będę „świadkiem korony“, powiem wszystko — szeptał Patryk — prawdopodobnie nierozumiejąc sam siebie.

Kusiciel tryumfował.

Obok ukrzyżowanego Chrystusa i papierów na stole, pokrytym zielonem suknem, leżał w złotą gałkę oprawny pejcz, jakich zwykle szlachetni lordowie używają do zachęcania swoich rumaków, gdy się ścigają na torze Derby. Pejcz ten wziął master James do ręki i machnął nim w powietrzu, dając pisarzowi jakiś znak, niezrozumiały dla Patryka. Pejczu tego nie wypuścił już z lewej ręki, w prawą ujął pióro i równie łagodnym jak poprzednio głosem ciągnął dalej indagację.

— Więc będziesz mówił?

Patryk się przeżegnał i odparł:

— Będę.

— Wszystko?

— Wszystko — powtórzył automatycznie Patryk i znów położył na piersiach znak krzyża, powtarzając go następnie przed każdą odpowiedzią.

— Mieliście się zejść koło Vinegar-Hill? nieprawdaż? i działać na tyłach armji królewskiej, dopomagając tym sposobem Francuzom?

— Tak.

— Spìsek rozgałęzionym był bardzo?

— Tak.

— Poszedłeś na wschód, aby agitować między góralami?

— Tak.

W tej chwili Patrykowi się zdało, że słyszy jakby skrzypnięcie drzwi poza sobą.

— Wysłałeś Toma na zachód?

— Tak.

— A duszą spisku był stary Job Tiron?

— Tak.

— Czy ten? — zawołał master James Tentator, wskazując Patrykowi pejczem w stronę drzwi wchodowych.

Patryk nagle się odwrócił i stanął jak wryty.

Poza nim stała z załamanemi rękami Nelly, a obok niej stary Job.

Ale jakże oboje niepodobni do tych, z których jedno błogosławiło go na drogę, a drugie okrywało pocałunkami miłości!

I starzec i dziewczę byli cieniami zaledwie tych postaci, które oglądaliśmy na początku tego opowiadania przed góralską chatą.

Job miał ręce skrępowane, twarz jego była blada niby chusta, uśmiech wzgardy igrał na ustach, a z oczów biły pioruny gniewu.

A Nelly?

O, piękniejszą była jeszcze niż dawniej, ale dosyć było Patrykowi spojrzeć na nią, aby zrozumieć, że te oczy czarne nie miały dlań nic — prócz pogardy.

— Nelly! — zawołał Patryk — Jobie! Nelly moja najdroższa!

Ale Job ponuro odrzekł:

— Nie znam ciebie.

A Nelly nie rzekła nic, odwróciła się tylko szybko, podbiegła parę kroków ku Patrykowi, twarz jej łagodna przybrała wyraz furji, a z ust jej wyszła nie mowa, lecz ślina, którą plunęła w twarz niegdyś ukochanego.

Patryk zawył z bólu, a pejcz master James'a świsnął w powietrzu tuż przed twarzą jasnowłosej Nelly.

Patryk chwycił się za piersi, spojrzał w oczy Joba, spojrzał na Nelly i czuł — że traci zmysły.

— Ha, psy nikczemne, nauczę ja was szacunku! drzewa na szubienice dla was w Irlandji nie zabraknie!... powywieszam jak nędznych szakalów! — wrzeszczał master James.

— Ale tylko nas samych — odparł spokojnie Job — znalazłeś zdrajcę, który jedynie mnie mógł zdradzić, a ja ci powiem, że drwię z szubienicy, gdyż dziś 21 czerwca — pod Vinegar-Hill już się biją!

Master James zatrzymał się przez chwilę.

— Łżesz! jak pies szczekasz! połowę spiskowców mam w więzieniu, wywieszam...

— A druga połowa? — odparł spokojnie Job i uśmiechnął się szyderczo.

W tej chwili gwar jakiś doszedł ich uszu.

— Goniec z pod Vinegar-Hill! — zagrzmiało w powietrzu.

— Konia! goniec do królowej!

Master James pobladł, na twarzy Joba zajaśniał uśmiech tryumfu, Nelly wyciągnęła ku drzwiom rączęta, a Patryk prawie nieprzytomny zdawał się nie pojmować tego, co się wkoło niego działo.

— Z pod Vinegar-Hill! — szepnął master James blady i poprawił na szyi krawat, który w tej chwili wydał mu się za ciasnym.

— Z pod Vinegar-Hill! — zawołał głośno i tryumfująco Job, ręce związane wyprostował, i była chwila, że master James'owi wydało się, iż pęta pod tym ruchem na rękach starca się zerwą.

— Z pod Vinegar-Hill — szepnęła Nelly i łzy puściły się z jej oczów.

— Z pod Vinegar-Hill — powtórzył Patryk za innymi głuchym, bezdźwięcznym głosem.

I potem głuche zapanowało milczenie.

Cztery piersi oddychały szybko, oczekując wyjaśnienia tego okrzyku.

Chwila oczekiwania zdała się każdej z nich wiekiem i wieki — się kończą jednak, cóż dopiero chwila.

Drzwi się rozwarły, a przez nie wpadł pisarz, którego okrzyk z pokoju wywabił, z twarzy jego, na którą wszystkie oczy się zwróciły, master James wyczytał: „Zwycięztwo!" — Tak, Anglicy zwyciężyli, mordując 50.000 Irlandczyków.

Pęta na rękach starego Joba zacisnęły się silniej, łzy po twarzy Nelly popłynęły obficiej, twarz Patryka przybrała barwę kredy.

— Do więzienia z nimi! — wrzasnął James.

I poszedł stary Job wraz z Nelly tam zkąd przybyli, a odchodząc nie rzucili nawet jednego spojrzenia Patrykowi.

— Masz szczęście, chłopcze — zawołał master James — żeś się przyznał. Jutro będziesz wolny.

Patryk teraz dopiero uczuł na twarzy ślinę wzgardy z ust Nelly rzuconą, otarł ją rękawem i szepnął:

— Mam szczęście, jutro będę wolny.

Poszedł za człowiekiem, który go zaprowadził już nie do celi więziennej, ale do pokoju, z którego, jak go objaśniono, miał nazajutrz wyjść wolny.

Tam znalazł łóżko, na którem od tak dawna nie spoczywał, światło, którego przez dni parę nie widział i wykwintne jedzenie na stole. Machinalnie podszedł do łóżka i bezwiednie prawie na nie się osunął.

— Mam szczęście, jutro będę wolny — powtarzał ciągle.

I przymknął oczy, jakby się chciał pozbyć widoku tego wszystkiego, co go otaczało.

Ale myśli i pamięci tak jak oczu zamknąć nie można. Myślał więc o jutrze i o swojem... szczęściu. Jakże strasznie przedstawiało mu się ono teraz. Pierwsze wspomnienie swoje posłał ku matce i ujrzał ją, jak strasznym ruchem rozpaczy odpychała go od piersi. Dalej ku Nelly, ale tu syknął jak wąż: na czole piekła go jej ślina; zerwał się na równe nogi i zrozumiał po raz pierwszy, czem było to jego szczęście. Gwałtownym ruchem rozerwał kaftan na sobie, paznogcie w piersi wtłoczył tak, iż ciało rozkrwawił, jak zraniony zwierz uderzył głową o ścianę i zawył.

— Ha! łotrze! Ty, coś zdradził, ty śmiesz marzyć o szczęściu, o jutrze! ludzie cię palcami pokazywać będą, pluć w oczy, tak jak ona plunęła... dla ciebie nie ma szczęścia, boś uległ kusicielowi!

I wył tak, tarzając się po ziemi i bił głową o ściany, a nikt go nawet nie słyszał; na tę celę nikt nie zwracał uwagi, bo przeznaczoną była dla szczęśliwych, którzy nazajutrz mieli być wolnymi.

Nagle zerwał się z ziemi, obejrzał po izbie i podszedł ku drzwiom... były jeszcze zamknięte, spojrzał dokoła... wzrok jego uderzył blask świecy stojącej na stole.

Zaśmiał się dziko i wrzasnął znowu:

— Łotrze! nie umiałeś żyć uczciwie, umiejże przynajmniej umrzeć jak należy; umrzeć tak, że gdy o twojej śmierci ludzie opowiadać będą, to mróz kości ich przeniknie...

Z temi słowy uchwycił świecę, pod łóżko ją postawił, a sam rzucił się na posłanie. Płomień objął słomę siennika i począł lizać po chwili ubranie, Patryk schwycił się rękami za górną poręcz łóżka, nogi wyprężył... jakaś dzika zawziętość zarysowała się na jego twarzy...

— Pali się! pali! — zabrzmiało w zamku i wszyscy mieszkańcy pobiegli w stronę, zkąd wydobywały się płomienie.

Użyto wszystkich narzędzi pożarnych, znajdujących się pod ręką, i zdołano pożar przytłumić po kilkogodzinnych usiłowaniach.

Master James Tentator poszedł sam oglądać szkody wyrządzone przez ogień; a gdy mu powiedziano, że w narożnej celi znaleziono zwęglone zwłoki człowieka, szepnął, ironicznie się uśmiechając:

— A przecież tak łatwo dał się skusić!

KONIEC.

Polska w czasie wielkiej rewolucyi francuskiej
i wpływ tej ostatniej na nią

przez
Bolesława Limanowskiego.

(Ciąg dalszy)

Opozycyja przeciwko królowi miała jeden tylko punkt wspólny: niedopuszczenie do wzmocnienia władzy królewskiej, a nawet — jeżeli się uda — osłabienie jej. Pod innemi względami, tak społecznemi jak politycznemi, istniała w jej łonie ogromna różnica. Uwydatniała się ona coraz bardziej w ciągu samego sejmu i wreszcie rozerwała obóz opozycyjny na przeciwne sobie stronnictwa. W opozycyi spotkały się ze sobą trzy głównie kierunki: republikańsko-możnowładczy, który dążył niejako do rozebrania Rzeczypospolitej pomiędzy możne familije; zachowawczo-szlachecki, który pragnął zachowania istniejącego stanu rzeczy, z pewnemi ulepszeniami dość ograniczonemi; wreszcie reformatorski, który znowu rozpadał się na dwa kierunki: arystokratyczno-reformatorski i demokratyczny. Królewskie i republikańsko - możnowładcze stronnictwa chciały utrzymać sojusz z Rosyją, czyli — dokładniej mówiąc — zależność polityczną Rzeczypospolitej od gabinetu petersburskiego, ażeby przy jego pomocy dojść do swoich celów; szlacheckie zaś i reformatorskie stronnictwo wstrząsały z oburzeniem obrożą niewolniczą i z niecierpliwością czekały chwili sposobnej do jej rozerwania.

Przygotowujące się boje opozycyi ze stronnictwem królewskiem skomplikowała walka dyplomatyczna rządu pruskiego przeciwko despotycznemu protektoratowi rządu rosyjskiego nad Polską. Ponieważ król zobowiązał się był przeprowadzić na sejmie przymierze z Rosyją w celu dania jej pomocy zbrojnej w wojnie z Turcyją, rząd pruski, nieprzyjazny w tym czasie Rosyi i Austryi, postanowił bądź co bądź pokrzyżować te plany. Na ósmy już dzień, po otwarciu sejmu, 13 października sekretarz sejmowy odczytał deklaracją ambasadora pruskiego. W niej Buchholtz oświadczył się przeciwko projektowanemu alijansowi pomiędzy Polską i Rosyją i, nie sprzeciwiając się powiększeniu wojska, zapewniał, że król pruski chce dać „wszelkie wsparcie i jak najskuteczniejszą pomoc,

końcem utrzymania niepodległości, wolności i bezpieczeństwa Polski.“ Deklaracyja ta, ośmielająca Polaków do podjęcia reformy ustroju politycznego, była walną bitwą, wygraną przez rząd pruski. Sprawiła ona olbrzymie wrażenie. Sympatyja dla Prus zaczęła szybko wzrastać pomiędzy posłami, natomiast liczba zwolenników Rosyi stawała się coraz szczuplejszą. Łatwo było przewidzieć, że rosnąca opozycyja anti-rosyjska uderzy przedewszystkiem na departament wojskowy i Radę Nieustającą, jako ulegające wpływowi potężnemu Stackelberga i składające się ze stronników rosyjskich.

Skoro więc rozpoczęły się rozprawy o powiększeniu wojska, uderzono na departament wojskowy. Uchwała o powiększeniu wojska do stu tysięcy zapadła 20 października, departament wojskowy zniesiono 3 listopada. Zaniepokojony Stackelberg wniósł protestacyją, którą odczytano na posiedzeniu w dniu 6 listopada. W nocie tej zaznaczył, że imperatorowa „nie będzie mogła patrzeć na najmniejszą odmianę konstytucyi z r. 1775, tylko jak na gwałcenie traktatu.“ O ile deklaracyja pruska przejęła radością cały naród, o tyle nota Stackelberga oburzyła go w najwyższym stopniu. Zdawało się powszechnie, że alijans z Prusami prowadził do odzyskania niepodległości politycznej, przymierze zaś z Moskwą krępowało i upokarzało tylko Polskę. Nic więc dziwnego, że opinija publiczna zwolennikom Prus dała nazwę *patryjotów*; tych zaś, co sprzyjali Moskwie, nazwała pogardliwie *pieczeniarzami*. W obec tego, druga deklaracyja pruska z dnia 20 listopada, zachęcająca, ażeby Stany nie ustępowały od uchwalonej ustawy i nie oglądały się na dawną gwarancyją, „która nie może stawać się przeszkodą Rzeczypospolitej ku ulepszeniu formy rządu swojego“, była drugą walną bitwą, którą rząd pruski wygrywał. Dnia 10 grudnia utworzono Deputacyją dla spraw zagranicznych, wyłączając w ten sposób te sprawy z zawiadowania Rady Nieustającej. Odcięto więc drugi konar instytucyi, na której wspierała się przemoc moskiewska. Wreszcie przypuszczono szturm do samej Rady Nieustającej, i dnia 19 stycznia 1789 r. runęła ona, zaledwie przez 11 głosów otwarcie broniona.

Uchwała, ustanawiająca sto tysięcy wojska, wywołała dwa ważne głosy, które zasługują, ażeby dłużej nad niemi zastanowić się.

Pierwszym głosem jest broszura nieznanego autora [1]) p. t. „Poparcie Uwag nad życiem Jana Zamojskiego z roztrząsnieniem pism, które się z ich powodu zjawiły“ (Roku 1788.).

---

[1]) Sam autor podaje następujące szczegóły biograficzne o sobie: skończył szkoły, przebywszy w nich lat siedm, i odbył popis z powszechnej filozofii (str. 12); przekonał się następnie, że jest nieukiem pełnym próżności, i sam wypełniał swoje wykształcenie (str. 13), miał dziesięciu synów (str. 75).

Czytając dziełko to, z jednej strony dziwimy się temu, że nie zwróciło ono dotąd należytej uwagi na siebie; z drugiej zaś strony podziwiamy tę wolnomyślność, która w społeczeństwie polskiem ku końcowi XVIII w. coraz częściej i coraz powszechniej zaczynała się przejawiać.

Autor, wychodząc z tej zasady, że „błąd i głupstwo ukuły dla narodów kajdany; nauki, rozum i prawda skruszyć je potrafią“ [1]), zaczyna rozprawę swoją od wychowania młodzieży i wypowiada bardzo wiele uwag rozsądnych. Dziwi się, że we wszystkich krajach wychowanie młodzieży pozostawiono duchowieństwu t. j. „ludziom niemającym ani woli ani zdatności do rozwikłania rozumu ludzkiego; osobom, których jest zamiarem światło jego przytłumiać, aby nieoświeconych łatwiej pod swą ujarzmić władzę“ [2]). Co do wychowania płci żeńskiej, wypowiada tak zdrowy i postępowy pogląd, że nie mogę oprzeć się pokusie, ażeby nie przytoczyć całego tego ustępu:

„Ta płeć, obażalna pod wszystkiemi ziemikręgu strefami, pod mężczyzn jęczy jarzmem. Człowiek dziki robi z swej towarzyszki niewolnika; Azyjatyk zazdrośny ma kobiety za narzędzie swych roskosz lubieżnych. Europejczyk wypolerowany, choć się tej płci nieco więcej pobłażać zdaje, postępujeż z nią sposobem uczciwszym? My Polacy, co się Francuzów chełpiemy dwornością dla pogłowia, wlewając mu tylko smak do zabaw, igrzysk, mód, strojów, lub do nauk miałkich, niepokazujemyż mu wzgardę istotną, umaskowaną pozorem ulegania i grzeczności? Jakąż korzyść oczekiwać można z wychowania dawanego szlacheckim panienkom? Matki próżne, rozsypane, częstokroć występne mogą li nauczyć swe córki prawideł cnoty i skromności? Równe dla tej płci lubej nieszczęście, gdy porzucona będzie zakonnicom, żadnej wiadomości niemającym, oddzielonym od społeczności, kłótliwym, lekkowiernym, zabobonnym i napełnionym przesądami zgromadzenia swego. W tych dwuch szkołach nie uformują się zaiste dobre obywatelki, matki czułe, żony zdolne zjednać sobie szacunek i zastanowić serce swych małżonków. Cała edukacyja panienek, przeznaczonych do życia na wielkiem świecie, kończy się pospolicie na tańcu, muzyce, strojach i składzie ciała częstokroć wymuszonym. A do tego prawidła tej drugiej edukacyi są sobie wcale przeciwne. Religija zakazuje młodej panience kochać świat i jemu się podobać, kiedy z drugiej strony, wszystko, czego się uczy, ma za cel podobanie się światu. Wpaja się w nie zazwyczaj, że ich honor zawisł na wstydzie, skromności, a mianowicie na zachowaniu niewinności, a przeciwnie chęć, którą w nich

---

[2]) Str. 5.
[1]) Str. 10.

wzniecają do strojów i umizgalstwa, zdaje ich wzywać do porzucenia tej skromności i niewinności tyle zachwalanej.“ [1])

Wykazawszy znaczenie społeczeństwa dla człowieka i jaką jest prawdziwa wolność, autor zapytuje: „Możeli nasz naród tą się zaszczycać wolnością, kiedy ledwie dziesiąta część jego onej używa, a reszta w haniebnej dla człowieczeństwa jęczy niewoli? Prawodawcy! jeżeli moc kraju waszego chcecie powiększyć a rzucić z siebie sprosne przemocy cudzej jarzmo, dajcie wolność poddanym; gdy ich uczynicie obywatelami, dacie im Ojczyznę, która dotąd nie matką lecz okrutną była macochą; a niezawodną znajdziecie w nich siłę, na odparcie najogromniejszej potęgi. Prawo, co całemu nie służy społeczeństwu, sprawiedliwem być nie może, gdyż nie wiąże rąk tým, którzyby się na gnębienie słabszych pokusić chcieli. — Słowem, tam tylko wolność, gdzie wszyscy jednemu posłuszni są prawu.“ [2]) Autor poświęca dalej uwolnieniu poddanych cały rozdział, gdzie wykazuje gwałtowną tego konieczność. „Reprezentanci narodu! — woła — wybrani dla polepszenia losu ojczyzny, rozrzewnijcie się nad nędzną rolnika dolą. Wszak to jest człowiek, członek rodu waszego i wasz największy dobroczyńca; bo jakieżby bez niego wasze było jestestwo? stanie rycerski! słuchaj głosu natury, która groźno woła na ciebie: „Nieszczęsny człowiecze! zacóż gnębisz podobnego tobie! Jakże wyobrażenie Stwórcy śmiesz w nim znieważać? Wszak to twój brat, jedna krew w jego się toczy żyłach, nie byłżeś wprzód chłopem, nimeś został szlachcicem? A tym niejednego uczyniły zbrodnie, rozboje, mordy i łupiestwa“. O prawodawcy, którym sława wieczną już gotuje nagrodę, jeżeli prawdziwie dobro kraju kochacie, uznajcie swą powinnością poddaństwo z pod jarzma wielu tyranów uwolnić, a doświadczycie, że niebawem to wynidzie na dobro wszelkie przechodzące nadzieje. Ustanowiliście wojsko: najznaczniejsza część jego z stanu rolniczego ludu składać się będzie; wymagać od nich będziecie męztwa i odwagi; a któryż kiedy niewolnik te posiadał duszy własności? Jakież ci żołnierze mieć będą pobudki bronienia ojczyzny, kiedy w niej najsroższą znajdują tyrankę? Owszem bez odporu przejdą na stronę pierwszego nieprzyjaciela, gdyż rząd jakikolwiek ich osłodzi niedolę. A broń Boże, żeby na swych uciemiężycielów nie podnieśli oręża.“ [6]) Samo jednak uwolnienie poddaństwa jeszcze nieoświeconego, bez nadania mu ziemi do uprawy, mogłoby sprowadzić ważne zamieszanie, i dla tego autor, w celu zapobieżenia temu, doradza dwa środki: „albo niech

[1]) Str. 23, 24 i 25.
[2]) Str. 45 i 46.
[3]) Str. 115—117.

im (poddanym) dziedzice ustąpią grunt wieczyście z potrzebnemi do uprawienia onego narzędziami, za stosowną do wartości sumę roczną, albo też niech ich panowie swemi zrobią arendarzami, dawszy im sprzęty do uprawy należne.“ [1])

Takąż wolnomyślnością odznaczają się zdania autora o wolności druku, o obronie kraju, o podatkach, duchowieństwie i t. d. Przemawia za ustanowieniem milicyi popisowej i ćwiczeniem studentów w mustrze wojskowej po szkołach narodowych. Radzi używać żołnierzy do pracy produkcyjnej. „Wieleż to błot do osuszenia, dróg do wyprostowania, lasów do wykorzenienia lub okrzesania i rzek do połączenia w kraju naszym zostaje? [2]) Cieszy się, że sejm postanowił podnieść liczbę wojska do stu tysięcy i wskazuje źródło do jego opłacenia. „Wiadomo — mówi że pańszczyzna każdego dóbr dziedzica stanowi intratę; poddaństwo zaś niezgodne z prawem człowieczeństwa, one wyrabiać musi dla tych, co na nie ten srogi włożyli obowiązek: słuszność więc każe, aby dziedzic płacił stanowi, do którego szczególnie poddani należeć powinni, część korzyści, którą mu z krwawym przynoszą potem. Mniemajmy więc, że każdy dzień tej robocizny, bądź ręczny bądź sprzężajny, przynosi panu 6 gr., wszak każdy mi przyzna, iż nie jestem surowy kalkulator. Weźmy teraz liczbę średnią między jednym a sześcią dniami, chociaż na niektórych miejscach po dni 12 na tydzień robią te nieszczęsne bydlęta dwunogie; a wypadnie trzy dni na tydzień, następnie zarobi poddany dziedzicowi na rok zł. 124 gr. 24, niechże z tych 124 zł. 24 gr. zapłaci tylko zł. 10 Rzeczypospolitej jako jedynowładnej pani poddanych. Trzy więc milijony poddanych pańszczyznę robiących, bo ich przynajmniej tyle w pomiar całej ludności rachować można, dadzą 30 milijonów zł. przez samych właścicielów opłacanych; owóż równa suma, jaką autor *Zgody* i *Niezgody* [3]) z dziesiątego snopa wykalkulował; otóż i dosyć na płacę 100.000 wojska“. [4])

Drugim głosem ważnym jest *Głos poddaństwa do stanów sejmujących.* [5]) Kto jest autorem tego głosu, nie wiemy, ale to rzecz pewna, że musiał do lepszych umysłów swego czasu należeć. W Głosie tym zanadto silnie przebija się odcień ironii, ażeby rzeczywiście można było takowy uważać jako pochodzący od poddaństwa. Podajmy jego treść.

---

[1]) Str. 117 i 118.

[2]) Str. 167.

[3]) Jacek Jezierski.

[4]) Str. 85 i 86.

[5]) Str. 289 do 309. Zbiór mów i pism niektórych, w czasie seymu stanów skonfederowanych roku 1788. Tom III. w Wilnie.

Na wiadomość o ustanowieniu stu tysięcy wojska, włościanie zatrwożyli się, ażeby nie obarczono ich nowemi podatkami, albowiem — jak uważa *Głos* — „w każdej potrzebie publicznej na nas Panowie zwracacie swe oczy, na nas powinność opłacania dochodów skarbu zwalacie". [1]) „Powiedzcież dobrem sumieniem, Panowie, czyliż nie my cały pobór za was płacimy? Wszak wójci nasi dobrze o tem wiedzą. Wszak nawet po wielu miejscach tak nowe przy dawnych rozłożono podatki, iż część z nich znaczna okrawa się dworowi. Ale panom wolno wszystko nakazać, nasza powinność wszystkiego słuchać i pełnić". [2])

Panowie mówią, że nie nałożą nowej daniny na włościan. „Lecz gdy czopowe, młynowe i podobnego gatunku pobory stanowić chcecie, mniemacież, iż ten ciężar nie my dźwigać będziemy? Podwyższoną cenę trunku czyliż chłop drożej nie będzie opłacał? Narzucony podatek na młyny, czyż w większej części nie będzie chłop znosił w zmniejszonem lub podrożonem mliwie? Nie jesteśmy tak ciemni, Panowie! abyśmy nie znali, że cios, lubo nie prosto przeciwko nam wymierzony, niemniej jednak nas razi. Na jedno to zawsze wynosi, czy grosz nasz ostatni z własnej nam kieszeni lub obcej poborca wydrze. Jest to chcieć nas omamić, abyśmy się cieszyli urojoną ulgą, a w rzeczy samej jest to nas przywalać obwinionym w inne nazwisko ciężarem". [3])

Z ironiją rozpaczliwą, że tak powiedziałbym — autor czy autorowie *Głosu* z rezygnacyją godzą się na swoje poddańcze położenie i pragną jeno trochę ludzkości dla siebie. „Nie żądamy od was wolności — mają mówić poddani do swoich panów — bo już nam się zdaje, jakobyśmy do niej zrodzeni nie byli; jakoby nas natura w podlejszym od innych stwarzając gatunku, was na panów, nas na poddanych przeznaczyła. Przestajemy na tym stanie, w którym i nasi ojcowie żyli. Bóg to tak podobno zrządzić musiał. Bo wierzyć nie można, aby ludzie jedni być mieli tak okrótni, by nad podobnem sobie przewodzili i pastwili się jestestwem; drudzy tak nieczuli i podli, aby sami na się kładli jarzmo niewoli. Zostańmy więc nazawsze, kiedy wam się tak podoba, w przeznaczonym dla nas od natury poddaństwie." [4]) „Zarzuceni w pogardzie i upodleniu ostatniem, nie dla siebie zaiste pracujemy, nie dla siebie żyjemy. Ten jeden oddech własny nędznego życia jakże nam drogo przychodzi! Nic nie mając prawie swojego, jeżeli garść lichego ziarna zbierzemy, alboż nie musimy się niem dzielić z dworem, który najpierwsze

[1]) Str. 289.
[2]) Str. 295.
[3]) Str. 296 i 297.
[4]) Str. 290,

do niego ma prawo; z księdzem, który się cząstki jego za swe usługi duchowne domaga; z żołnierzem, który nam bezkarnie wszystko wydrzeć może; z poborcą, który należącej skarbowi daniny nie ustąpi; z żydem nawet, który je od nas różnemi sposobami wyłudzi? A po tak licznym podziale nikczemnego zbioru, nędza nam tylko w reszcie pozostaje“ [1]) Położenie nasze jest takie, że obojętną jest dla nas rzeczą, czy mamy być niewolnikami obcych lub własnych panów. „Cóż albowiem nas może przywiązać do tego kraju i rządu, który wtenczas tylko o nas pamiętać zdaje się, gdy nowe na nas daniny narzucić mu się podoba?“ [2])

Jakież są żądania *Głosu poddanych?* Są one czworakie: „Najprzód, abyście nam bezpieczeństwo życia pewniejszemi obwarowali prawami, bo sami znacie, jak mało niniejsze przeciwko dzikiemu okrócieństwu nas bronią. Powtóre, abyście nam pozwolili w sądzie jakim dochodzić sprawiedliwości, przeciw uciskom i pokrzywdzeniom, wszak i my ludźmi jesteśmy. Potrzecie, abyście nam nadali własność wypracowanego zarobku i zbioru, żeby nam go niesłusznie przemoc wydrzeć nie mogła, bo to nam się z przyrodzenia należy. Poczwarte, opisać prawami wiele dni pańszczyzny z jakiego gruntu wyrabiać i co płacić mamy, bo doznawane w tej mierze uciążliwości niszczą rolnictwa nasze. Okażcież w tym razie, Panowie, że gdy o polepszeniu powszechnego losu myślicie, nie przepomnieliście o tej najliczniejszej, a jeżeli wolno prawdę mówić i pochlebić się nieco, i najużyteczniejszej cząstce ludu, która jako się do pospolitego dobra przykłada, tak i do jego uczestnictwa należeć powinna. [3])

Przytoczone dwa głosy, popierając tak gorliwie i rozumnie sprawę włościan, nie były wcale wyjątkowem zjawiskiem. Przekonywują nas o tem pomiędzy innemi licznie pojawiające się w tym czasie *Uwagi* i *Myśli* z powodu dzieła Staszica, pamięci Jana Zamojskiego poświęconego, które niemal wszystkie potrącają o kwestyją włościańską i żądają mniejszego lub większego polepszenia losu włościan. Przekonywują nas o tem także znalezione w prywatnej korespondencyi Stanisława Augusta projekty poprawy bytu włościańskiego, nadesłane w końcu 1788 r. i na początku 1789 r. I tak, Robert Brzostowski, brat znanego dziedzica Pawłowa, mniema, że „czas już byłoby narodowi poznać, że z uwolnienia chłopów każdy więcej pożytku odniesie, aniżeli zatrzymując ich w poddaństwie“, i pragnąłby uwolnienie włościan połączyć z wyuczeniem ich musztry wojskowej. Kasztelan chełmski Wojciech Poletyłło sądził jako rzecz najsprawiedliwszą, „wszystkim ludziom grunta posiadającym, przy-

---

[1]) Str. 292 i 293.
[2]) Str. 294.
[3]) Str. 302 i 303.

znać wieczyste w całym kraju posiadanie, zachowując tylko *pricipale dominium* dla właściciela.“ Żądał także wolności przechodzenia włościan z jednego miejsca na drugie i zniesienia prawa o zbiegłych. Uważał za potrzebne zabezpieczyć majątek włościański, określić powinności, ustanowić wójta w każdej wsi do sądzenia spraw między pospólstwem i nakazać, ażeby każda wieś miała swój magazyn. Nadto „dla wymierzenia ludowi sprawiedliwości, możnaby urząd referendarski po województwach, ziemiach i powiatach ustanowić, który sprawy między ludem a panem rozsądzałby, *salva appellatione* w większych rzeczach do referendarza koronnego“. [1])

Większość podnoszących sprawę włościańską nie szła wszakże dalej nad potrzebę rozciągnięcia opieki prawnej nad włościanami i opisanie dokładne ich powinności. Niektórzy zaś, jak Galicyjanin, co w maju 1789 r. przysłał królowi ułożony przez siebie projekt reformy [2]), wskazywali dopiero w odległej przyszłości uwolnienie włościan, po dokonanem poprzedniem ich oświeceniu; niektórzy zaś, jak Jacek Jezierski[3]), chociaż oświadczali się za oswobodzeniem stanu chłopskiego, nie radzili jednak podnosić tej sprawy w sejmie, albowiem ogół szlachecki — zdaniem ich — nie dopuściłby jej rozwiązania.

Istotnie, w sejmie przez długi czas nie potrącano drażliwej sprawy włościan. Wprawdzie król 6 listopada (1788 r.), upominając posłów, by nie zapędzali się bardzo przeciwko Rosyi, rzucił szlachcie groźne ostrzeżenie, że w poddanych własnych najłatwiej może doznać nieprzyjaciół najsroższych, ale słowa te nie wywarły żadnego wrażenia. Dopiero kiedy opozycyja wzięła przewagę nad stronnikami moskiewskimi, młody Julijan Niemcewicz podjął się zaszczytnej roli bronienia interesu włościan, ilekroć nadarzała się ku temu sposobność. Pierwsze jego odezwanie się napotykamy w dniu 9 stycznia 1789 r., kiedy obradowano nad podatkami. „Jakiekolwiek Rzplitej podobać się będzie ustanowić podatki — mówił — pierwsza powinna być w stanowieniu ich baczność, żeby były

---

[1]) Str. 127 i 128. Korespondencyja krajowa Stanisława Augusta z lat 1784 do 1792. Poznań. 1872. P. Korzon, oceniając projekty naszych reformatorów z końca XVIII. stul., powiada, że nie rozumieli oni wyrazu: „własność“ włościańska w znaczeniu rzymskiego dominium. Zupełnie słusznie. Lecz Lelewel już wykazał, że podług teoryi prawa polskiego, nie było własności ziemskiej osobistej (dominium), lecz własność wspólna szlachty lub włościan. Oddanie ziem używanych przez włościan w wieczyste ich posiadanie było jedynie możliwą formą ich uwłaszczenia z punktu prawa polskiego. Dopiero kodeks Napoleona wprowadził do Polski teoretyczne pojęcie własności osobistej.

[2]) Str. 128. Korespondencyja krajowa Stan. Augusta.

[3]) Zgoda i niezgoda z autorem uwag nad życiem Jana Zamoyskiego r. 1788.

sprawiedliwemi, żeby równie znoszonemi od wszystkich, żeby im kto więcej od ojczyzny zyskuje, tem więcej do wspierania jej przykładał się, żeby wieśniaków, żeby mówię, chłopów jak najbardziej oszczędzać". [1]) Kiedy na sesyi 26 stycznia uchwalono podatek tymczasowy (pro tunc), Niemcewicz wniósł, aby podatek ten rozłożono na same dwory szlacheckie, oszczędzając włościan i rzekł przytem, że obronę włościan poczytuje sobie za największą chlubę, ponieważ nie mają oni własnych reprezentantów w sejmie.

Wkrótce kwestyja włościańska przypomniała się szlachcie w całej swojej grozie. Stronnicy hetmana, chcąc niejako utorować drogę dla nowej konfederacyi, na czele której stanąłby Ksawery Branicki, zaczęli szerzyć pogłoski o rozpoczynającym się jakoby buncie na Ukrainie. Głoszono przytem — nie bez słuszności zapewne — że Moskwa, za pośrednictwem duchowieństwa dyzunickiego, wędrownych kramarzy i przechodzących żołnierzy, podburzała włościan ruskich. Pogłoski o buntach znajdowały u jednych rzeczywistą wiarę, u drugich stawały się pretekstem tylko do agitacyi. Była to oczewiście nieszlachetna, niemoralna i niepolityczna agitacyja: nieszlachetna i niemoralna, bo dała się uczuć dotkliwie ludowi wiejskiemu i dyzunickiemu, bo posługiwała się fałszem i kłamstwem; [2]) niepolityczna, bo mogła istotnie wywołać rozruchy chłopskie i zamiast zaszkodzić Moskwie, posłużyć tylko jej planom. [3])

Pomimo że Szczęsny Potocki i Adam ks. Czartoryski, posiadacze rozległych dóbr na Rusi, zapewnili, że o żadnych buntach nic nie wiedzą, poseł wołyński Strojnowski na sesyi 19 lutego zaproponował wydanie uniwersału do szlachty, wzywając ją, aby przygotowała się do zbrojnego wystąpienia. Czy Strojnowski istotnie miał na myśli pospolite ruszenie przeciwko włościanom, rzecz jest więcej niż wątpliwa, zwłaszcza, że ten sam Strojnowski w innych okolicznościach stawał w obronie włościan. [4]) Wreszcie cała dyskusyja nad uniwersałem dowodziła, że miano na myśli Moskwę, nie zaś włościan. Bądź co bądź jednak Wawrzecki miał słuszność, piętnując na posiedzeniu 20 lutego wniosek

[1]) Str. 155. Tom V. Zbiór mów i pism niektórych w czasie sejmu stanów skonfederowanych roku 1789 — w Wilnie.

[2]) Ks. Kalinka dokładnie opisał smutne i krwawe następstwa na Wołyniu tych w znacznej mierze płochych pogłosek. Sejm Czteroletni. Tom I. Str. 368 do 377.

[3]) Russkaja Staryna z 1876 r. (miesiąc październik) ogłosiła plan Patiomkina ogłoszenia się hetmanem kozackim i wywołania powstania przeciwko Polakom na Rusi.

[4]) Na sesyi 22 marca 1790 r. Strojnowski upomniał się, ażeby włościanie w czterech starostwach na Ukrainie, które przechodziły na własność dziedziczną, nie popadli w poddaństwo nieograniczone, chociaż jednym z dziedziców miał być Branicki, do którego stronnictwa ten poseł należał.

Strojnowskiego słowami oburzenia i przypominając szlachcie, że „krzywdy chłopom czyniące się, zwyczajnie bunt zbliżają, nigdy zaś hamować pospólstwo nie zwykły“. Słusznie powiedział zwolennikom dwulicowej agitacyi: „Potrzeba mówić i czynić otwarcie, przeciw komu zamierzamy pospolite ruszenie, bo na chłopów tego nie potrzeba!“

Najsilniej agitowano na Wołyniu. Tam komisyja prowijancka zamieniła się w porządkową i 31 marca uchwaliła zorganizować po miastach powiatowych milicyją. Szlachta nierozumnie przytem odgrażała się przeciwko chłopom i ganiła czynione im ulgi. „Największe wsie księcia (Stan. Poniatowskiego, podskarbiego litewskiego) — pisał szambelan Karwowski do króla, Zwiniacz i Hołoniów zaczynszowane, więc hultają; niech W. K. Mość wymoże na księciu, aby je odczynszował i na pańszczyznę obrócił, a tak i będzie spokojność i uniknie książe mowy obywatelstwa przeciw sobie“. [1]

Szlachta wołyńska dopóty straszyła siebie rozmaitemi pogłoskami, dopóki rzeczywistego nie napędziła sobie strachu. Niemające żadnego związku z buntami zamordowanie rotmistrza kawaleryi narodowej, Wyleżyńskiego, wydało się wystraszonym szlachcicom początkiem buntu chłopskiego. Przerażenie było ogromne. Stempkowski w liście do króla 15 kwietnia, dobrze maluje przestrach szlachty i jej głupią, bo wyzywającą postawę. „Obywateli mnóstwo — pisze — zjechało się do mnie, do Łabunia, jeszcze przed świętami; wszystko to potrwożony lud, i bawić będą, aż się komenda jaka oczekiwana na Wołyniu pokaże. Ostrożność od samego Włodzimierza po wszystkich miasteczkach i wioskach; szubienic pełno i wszystkiego narzędzia. I u mnie jest pilność — dodaje — ale bez hałasów; szubienic nie stawiam, bo gdy się okażą winni, to dosyć czasu, a tym sposobem to jeden lud się trwoży, a drugich prawie uczą, by desperacyja szerzyła rozruch wszczęty“. [2] Ażeby uspokoić szlachtę, wzmocniono nowemi pułkami wojsko na Wołyniu. Lękając się niesłusznego prześladowania włościan, król zalecał Stempkowskiemu: „naprzód, aby nasze własne wojsko, i dawne i nowe (którego w samym Wołyniu będzie wkrótce do kilku tysięcy) zachowywało się w ścisłej karności, a nikogo, mianowicie chłopów, darmo życiem nie uciężało; secundo, żeby te podatki, które Rzplita kazała, aby szlachta płaciła, nie były walone na chłopów, aby ich to samo do desperacyi nie prowadziło; potrzecie, żeby też nigdzie nie robiono *supplicium ante judicium*. [3]

---

[1] Str. 110. Koresp. kr. Stan. Augusta.
[2] Str. 118 Koresp. kr. Stan. Augusta.
[3] Str. 115. Koresp. kr. Stan. Augusta.

Zalecenia te jednak nie miały wielkiego skutku. Samowładna szlachta mściła się okrótnie nad chłopami za swój przestrach, którego sprawczynią głównie sama była. Uprościwszy dowolnie procedurę sądową do tego stopnia, że samo świadectwo oskarżyciela wystarczało za dowód, przez kwiecień, maj i czerwiec okrótną chłostą i wieszaniem karała chłopów. Za lada podejrzeniem, spędzano gromady do Dubna, Łucka, Krzemieńca i Włodzimierza, a tam „oczyszczano ich łozami z pyłu buntowniczego, najczęściej niewinnie; ciężko wyobrazić sobie te wszystkie nad poddaństwem znęcania się i tylko pragnąć należy — piszą z Łucka do króla — aby takie postępowanie nie przywiodło chłopów do ostatecznej rozpaczy“.[1]

Okrótne i dowolne postępowanie szlachty wołyńskiej oburzało nie tylko stronnictwo demokratyczne, ale i wielu innych posłów. „Marszałek“[2] — pisze Stanisław August — ubolewa, że tak wiele dzieje się po sądach grodzkich[3]) nieprzyzwoitości, stąd że za każdem oskarżeniem biją i sieką rózgami każdego prawie obwinionego, z których ci, co się nie przyznają, cierpią męczeństwo, często niewinne, a między temi, którzy z bólu się przyznają, jest zapewne wielu bez winy, a jednak idą na śmierć. Taka procedura przeciwna jest prawu, które u nas tortury skasowało i ta rzecz niemało dręczy duszę moją“.[4] Deputacyja, wybrana 26 maja przez sejm do egzaminowania sprawy o bunty oskarżonych, zawiesiła wiele dekretów jako nieusprawiedliwionych. W samym sejmie odezwały się głosy niezadowolenia. Niemcewicz nie wahał się oświadczyć, że przyczyną buntów chłopskich był ucisk szlachecki. „Jakie — zawołał na sesyi sejmowej w dniu 30 marca — były zawsze buntów ukraińskich przyczyny, co Bohdana, co Tymoteusza Chmielnickiego, co Doroszenkę, Niczaja i tylu innych przymusiło podnosić broń przeciw nieszczęśliwemu lecz mężnemu i stałemu Janowi Kazimierzowi, jeżeli nie ucisk poddanych“.[5] Prawda ta kłuła w oczy reakcyjonaryjuszów szlacheckich. Walewski wojewoda sorodzki raz ze złością rzekł do Niemcewicza: „Wyrodku! i ty sam dawny szlachcic za chłopami odzywać się odważasz?!“

---

[1]) Str. 385 i 376. Tom I. Sejm czteroletni ks. Kalinki.

[2]) Stan. Małachowski.

[3]) Na Wołyniu.

[4]) Str. 379. Tom I., ks. Kalinka.

[5]) Str. 208. Zbiór mów i pism... Tom VIII. P. Roman Pilat w dziełku: „O literaturze politycznej sejmu czteroletniegó (1788—1792)“ wymienia dzieło p. t. „Bunty ukraińskie, czyli Ukraińca nad Ukrainą uwagi przez F. Makulskiego 1790 (8-vo, str. 206), ale nie podaje o niem żadnych bliższych wiadomości. Dzieła tego nie miałem w ręku. Ks. Kalinka i p. Korzon także nic o niem nie wspominają. Warto jednak byłoby podać szczegółowszą wiadomość o treści tego dzieła, ponieważ Makulski należał do wolnomyślnych i postępowych pisarzy.

Kwestyje podatkowe, które często przychodziły pod obrady sejmu, powiązały się niejako ze sprawą włościan. Ażeby zaradzić tymczasowo głównym potrzebom, na sesyi 26 stycznia uchwalono, oprócz zwykłych podatków, zapłacić jeszcze całoroczne podymne. Wówczas to, na wniosek Niemcewicza i po uwadze Seweryna Potockiego posła brocławskiego, że narzucić nowe podatki na chłopów, byłoby toż samo, co ich na stepy moskiewskie lub wołoskie wypędzić z nieodżałowaną dla siebie i dla kraju stratą, [1]) postanowiono, ażeby ten podatek sami właściciele spłacili a nie ważyli się go rozkładać na swoich poddanych. Sprawa jednak na tem nie skończyła się. Na sesyi 27 marca posłowie Rożnowski i Strojnowski wystąpili ze skargą przed sejmem, że wielu dziedziców nie stosuje się do uchwalonego prawa i żądali uniwersału w tej sprawie. Sapieha poszedł dalej i domagał się wyznaczenia kary na nieposłusznych. Poparli go król, Jan Krasiński, Stanisław Potocki, Ad. Czartoryski i marszałek sejmu. Dyskusyja w tym przedmiocie powtórzyła się jeszcze 29 marca. Przemawiali w interesie włościan: Zieliński kasztelan rypiński i ks. Kossakowski biskup inflancki. [2]) Następnego dnia znowu obradowano w tej sprawie. Weyssenhof poseł inflancki i Michał Zaleski poseł trocki oświadczyli się przeciwko wnioskowi Krasińskiego, który chciał, „ażeby poddani przez panów niewoleni nie byli do płacenia podatków i ofiar, na sam tylko stan szlachecki włożonych, ażeby zaręczyć sprawiedliwość w sądach pokrzywdzonemu poddanemu i wystawić mu obrońcę w delatorze 3.000 grzywien nadgrodzonym“. Mowa Weyssenhofa, pomimo że była przeciwna wnioskowi Krasińskiego, brzmiała przychylnie dla włościan, zdradzała tylko bojaźń buntów. „Tam gdzie można krzywdzić bezkarnie — konkludował — jest że rzecz podobna obiecywać sobie nadgrodzenie krzywd poniesionych“. [3]) Za to Michał Zaleski z całą energiją uderzył na przedstawiony projekt. Straszył buntami, wspominał *rewolucyje:* w ekonomii szawelskiej i starostwa wielońskiego na Żmudzi, starostwa stokliskiego w pow. kowieńskim, starostwa borysowskiego w pow. orszańskim. „Zcierpmy raczej—powiadał—jeśli się zdarza, że prawo omylone, poddani przez dziedzica uciążeni zostaną... uczmy pierwiej poddanych naszych być ludźmi, niż ich ogłosimy wolnemi, inaczej? — niedogodzenie poddanym, szlachcie okrucieństwo sporządzim, spustoszenie ojczyznie, jej nieprzyjaciołom z naszego zamieszania przygotujemy korzyści“. [4]) Za wnioskiem przemówił także Niemcewicz, a mowa jego należy do najznakomitszych z sejmu czteroletniego. „Zważmy — powiadał — czem jest stan chłopów

---

[1]) Str. 116 i 117. Zbiór mów i pism... Tom VI.
[2]) Str. 135 i 155—160. Tom VIII.
[3]) Str. 166. Tom VIII.
[4]) Str. 185. Tom VIII.

u nas; zważmy, czem jest ta pożyteczna, ta szanowna część narodu naszego. Ośm milijonów dusz liczymy pod panowaniem Rzpltej żyjących, z tych jeżeli wyłączymy stan szlachecki, stan miejski i żydów, zostaje najmniej sześć milijonów chłopów, t. j. sześć milijonów ludzi, niemających bezpieczeństwa majątków swoich, niemogących się pod opiekę prawa uciekać... Gdzież jest kraj na świecie, gdzieby prawa stanowione tylko były dla czwartej części mieszkańców“?... „Wyrzucono mi — mówi dalej — że ja chłopom powrócić chcę wolność, że cudzoziemskiemi napojony jestem maksymami... bodajbym nigdy na inny nie zasłużył zarzut jak na ten, że chłopów chcę widzieć wolnymi, ale wiem, że tak wielka, tak pożądana, tak ważna odmiana nie jest dziełem jednego sejmu, że od czasu jej tylko oczekiwać należy“. [1]) Suchodolski poparł także wniosek i prosił króla, przypominając mu sławę Kazimierza W., aby ten znowu przemówił w sprawie włościan. Król istotnie z pośpiechem i z gorliwością zadość uczynił tej prośbie. Jan Krasiński przemówił także powtórnie, a w powtórnem tem przemówieniu zaznaczył zmianę opinii szlachty w tym względzie. „Co dawniej — powiedział — może występkiem byłoby mówić za ulżeniem kilku milijonów nieszczęśliwych a prawdziwie użytecznych ludzi, dzisiaj od was z czułością słuchane“... [2]) Czułość ta jednak, co prawda, nie posuwała się daleko. Szlachta odrzuciła wniosek Krasińskiego, zgodziła się jeno na wydanie uniwersału. Sprawa o samowolnem rozrzucaniu podatków przez dziedziców na swoich poddanych ponowiła się jeszcze raz na sesyi 13 kwietnia 1790 r. z powodu skargi otrzymanej z Ukrainy.

Uwaga jednak Krasińskiego miała pewną słuszność. Szlachta zaczynała mięknąć. Słabo już oponowała przeciwko temu, że i ona musi ponosić ciężar podatkowy. Z ustanowieniem wojska regularnego, traciła dawne znaczenie rycerstwa i czuła trafność uwagi jednego ze światłych ówczesnych publicystów, że „dziś szlachcic nie posiada ziemi, aby wojował, lecz aby z niej utrzymywał siebie i swą familiją“. [3]) Zgadzała się więc płacić dziesiąty grosz z intraty dóbr ziemskich, nie chciała jeno nazwy podatku, ale chciała, by uważano to jako dobrowolną i wieczną ofiarę. Wprawdzie, znacznie zmniejszyła doniosłość tego postanowienia, odrzucając projekt Moszyńskiego, który podawał stałe chociaż przybliżone tylko podstawy do obliczania dochodu; a uchwalając, po długich rozprawach, mianowanie komisarzy, którzyby zajmowali się obliczeniem dochodu każdej wsi, przeważnie na podstawie zaprzysiężonego podania ekonomów

[1]) Str. 208—212. Tom VIII.
[2]) Str. 226. Tom VIII.
[3]) Uwagi ogólne nad stanem rolniczym i miejskim z powodu przyszłej rządu narodowego formy.

i dziedziców, otwierała drogę wpływom nieprawnym. Na tej samej sesyi, 4 kwietnia, kiedy odrzucono projekt Moszyńskiego, Poletyłło wykazywał korzyści ekonomiczne i polityczne nadania poddanym prawa wieczystego posiadania gruntów.

Dyskusyja w sprawie podatkowej, wyjaśniana licznemi broszurami, zwróciła uwagę narodu na ważne źródło dochodowe, któreby mogło przynosić Rzplitej wielkie korzyści, tymczasem służyło jej na szkodę. Źródłem tem były starostwa. Nie dawały one nawet tego, co zobowiązały się były dawać t. j. czwartą część dochodów czyli kwartę. Natomiast bywały one często narzędziem przekupstwa. „Za własne kraju starostwa — wołał Staszic — dwór petersburgski cały kraj kupuje... gdyby nie było starostw, nie byłoby Ponińskiego". [1]) Radzili więc patryjoci zabrać je na skarb publiczny. „Obrócenie starostw na skarb publiczny — zdawało się autorowi Poparcia uwag nad życiem Jana Zamojskiego — tem sprawiedliwsze, iż nie widać — jak powiada — w narodzie tak wielkich zasług, aby przez osoby szczególne trzymane bydź miały". [2]) Starostowie jednak, których Jezierski naliczył aż 130 w liczbie posłów, nie dopuścili do tego.

Sprawa podatków wywołała bardzo ważną broszurę p. t. „Uwagi ogólne nad stanem rolniczym i miejskim z powodu przyszłej rządu narodowego formy". [3])

Autor, widząc, że na utrzymanie stutysięcznego wojska w czasie pokoju trzeba 48 milijonów, a tymczasem wszystkie podatki wynoszą co najwięcej 32 milijony (dawne — 12 mil., nowe — 20 mil.), przychodzi do tego przekonania, że naród albo zginąć musi, albo postarać się o pomnożenie swego majątku i swych dochodów. Polska ma wszelką możność powiększenia swego majątku, albowiem „są odłogi nietykane od wieków, które uprawić trzeba, lecz do których uprawy niemasz dostatecznej ludności". [4]) Trzeba więc pomnożyć ludność, ale o potrzebnem zaludnieniu kraju niepodobna inaczej myśleć, „jak pod hasłem powszechnej wolności i dzielnem zabezpieczeniem majątków krajowego rolnika". [5]) Konieczną jest także rzeczą, postarać się o to, aby miasta były ludne,

---

[1]) Str. 156 i 157. Przestrogi.
[2]) Str. 87.
[3]) Broszura ta znajduje się przedrukowana w dziełku: „Konstytucyja 3go maja 1791 r." z Uwagami podawanemi jej twórcom w 1789 r., oraz dwoma późniejszemi tejże konstytucyi ocenieniami. Lipsk. 1865., Jest tu także przedrukowany: „Głos poddaństwa do stanów skonfederowanych".
[4]) Str. 21.
[5]) Ibidem.

gdyż w takim razie zbyt produktów wiejskich wzmoże się, co oddziałać musi na dobrobyt ludności rolniczej. Oprócz tych ekonomicznych względów, sama sprawiedliwość domaga się tego, ażeby nie uznawać za naród samej szlachty, która jest tylko „czternastą częścią onego“, i pisząc prawa, nie mieć tylko jej jednej na uwadze, lecz zważać na potrzebę całego ogółu. Szlachta mogła dawniej usprawiedliwiać prawo swoje do ziemi niejako istnieniem układu, że bronić będzie kraju od napaści, a za to chłopi będą na nią pracować. Lecz kontrakt ten został zerwany. „Zerwałeś go, stanie rycerski! w roku 1772, gdy zapomniawszy obowiązków tobie właściwych, obrony rolników twoich i mieszczan, zostawiłeś bezbronnych łupem zagranicznego najazdu. Gdyby te pracowite obywatelów klasy jakiemkolwiek w kraju znaczeniem do jego obrony zainteresowane były, gdyby owszem lepszej w sąsiednich krajach nie upatrywały dla siebie doli, czyliżby kraj polski, bez sporu, bez krwi rozlania, z taką łatwością jak się stało, mógł rozszarpanym zostać“? [1])

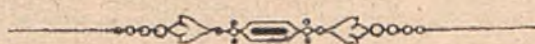
„Ustanowiwszy to za niewątpliwą, niezawodną, zgoła żadnym a żadnym sporom niepodlegającą prawdę, że każdy naród składa się z wszystkich mieszkańców kraju, nie z jednej klasy onychże; że bez wspólnej wszystkich osób szczególnych pracy, naród się stać możnym nie zdoła, lecz zginąć musi; mniemam że ty, który to pismo czytasz, tak jak ja — powiada autor — przekonanym zostałeś, iż układ przyszłej rządu narodowego formy żadnego rzeczypospolitej nie przyniesie rzeczywistego pożytku, jeżeli wolność osobista, którą wszyscy z prawa natury dzierżymy, jeżeli własność wszelaka, sposobami prawem cywilnem niezabronionemi nabyta, prawem fundamentalnem każdemu człowiekowi w narodzie zabezpieczoną nie będzie“. [2] Prócz więc własności osobistej i wolności przenoszenia się z włości jednej do drugiej, należy przyznać wieśniakom wolność nabywania gruntów prawem wieczystem. Obawa, „iż jeżeliby każdemu godziło się nabywać dobra ziemskie, tedyby podrobniały wielkie imiona“, [3]) jest śmieszną. „Życzmy owszem sobie, aby nigdy jeden nie dzierżył tyle, ile dla stutysięcy byłoby nadto, zwłaszcza, że dzieje krajowe od dwuch wieków przekonywać nas powinny, że nierząd w tej ojczyźnie nie drobnej szlachcie, ale wielkim panom jesteśmy winni“. [4]) „Wszędzie gdzie z jednej strony jest wiele wielkich fortun, tam z drugiej wiele wielkiej nędzy być musi“. [5])

---

[1]) Str. 26.
[2]) Str. 29.
[3]) Str. 34.
[4]) Ibid.
[5]) Str. 36.

Wreszcie autor jest tego zdania, że „wieśniak, mieszczanin, słowem każdy osiadły obywatel narodu a osiadłością przywiązany do swej ojczyzny, ma prawo należenia do obrad publicznych i tam skarżenia na nierząd, w który ją ludzie przewrotni wprawiać zwykli". [1])

W dziedzinie myśli widoczny postęp! *(C. d. n).*



Położenie włościan i własności ziemskiej w XIX wieku w W. Ks. Poznańskiem.

Przez **K. D.**

ROZDZIAŁ I.

Księstwo Warszawskie.

Historja naszych włościan i własności ziemskiej w XIX w. zawiera dwa perjody bardzo różne, rozdzielone rokiem 1823cim, w którym wydane były pierwsze prawa agraryjne, znoszące poddaństwo i stawiające jednocześnie nowe podwaliny dla własności ziemskiej.

Perjod 1szy koncentruje się całkowicie w historji Ks. Warszawskiego, które obok innych ziem polskich zawierało w sobie wówczas i dzisiejsze W. Ks. Poznańskie; dla tego też studjum nasze rozpoczniemy od historji Ks. Warszawskiego.

Dwa fakty kapitalne charakteryzują sytuację włościan i własności ziemskiej podczas krótkiej epoki Ks. Warsz., a mianowicie: powszechne bankructwo właścicieli ziemskich i masowe wywłaszczanie włościan. Fakty te wywołane były przez przyczyny wewnętrzne, jako też i przez wypadki zewnętrzne, które pokrótce postaramy się scharakteryzować, celem zrozumienia ogólnego stanu rzeczy.

Gdy na mocy traktatów między trzema ościennemi mocarstwami, przyłączono tę część dawnej Polski do Królestwa Polskiego, była chwila, w której ogólny stan kraju wydawał się być kwitnącym; prowincja bowiem przedstawiała obszerne pole dla kapitałów pruskich, napływających masami, dzięki popytowi i z powodu braku brzęczącej monety w rękach właścicieli polskich. Agenci banku berlińskiego wędrowali bez przestanku

[1]) Str. 43.

po prowincji. Prusacy zakupywali majątki ziemskie, a obywatele polscy okazywali ogólne zadowolenie z nowego stanu rzeczy, zwłaszcza, iż mogli oddawać ziemię pod hipotekę za bardzo niewielki stosunkowo procent. Handel również począł się szybko rozwijać. Gdańsk, ogłoszony wolnym portem polskim na mocy traktatów 1793 r., nie miał konkurencji nad brzegami Bałtyku i zajmował tym sposobem niemal wyjątkowe stanowisko, prowadząc na wielką skalę handel zbożowy z Holandją i Anglją.

Przy takich warunkach ceny na majątki ziemskie szybko poszły w górę, wartość ziemi znacznie się podniosła.

Utworzenie Ks. Warszawskiego zmieniło całkowicie postać rzeczy. Kraj zostaje zajętym przez najście armji cudzoziemskich, które plądrują po nim od pojawienia się Napoleona I. w przeciągu całych 7 lat z rzędu. Ks. Warszawskie staje się teatrem wojny, a stolica jego zajęta przez 40.000 armję austrjacką pod dowództwem arcyks. Ferdynanda aż do czerwca 1809 roku. Konskrypcja nie ustaje i w przeciągu kilku lat z rzędu nieustannie odrywa najlepsze siły od roli, zamieniając kraj rolny „w obóz wojenny Francji.“ Taki „stan oblężenia“ rujnuje kraj. Z jednej strony Prusacy wycofują swe kapitały, żądając likwidacji bez zwłoki; z drugiej, Gdańsk zajętym zostaje przez wojska francuskie, i przez wprowadzenie „systemu kontynentalnego“ odciętym od swego głównego rynku. Z tego bezpośrednio wynikają dwa następstwa: bystry upadek cen na majątki ziemskie i zupełna ruina handlu zbożowego, co w sumie wzięte sprowadza ogólne b a n k r u c t w o m a j ą t k ó w z i e m s k i c h.

Lecz upadek posiadłości ziemskich — to tylko jedna strona medalu, pozostaje druga, bardziej ciemna jeszcze, a mianowicie: ruina stanu włościańskiego. Włościanie bowiem musieli nieść na swych barkach podwójny ciężar: najsamprzód ogólnego stanu kraju, a następnie i wszelkie skutki nowego prawodawstwa, wprowadzonego jakoby w ich własnych interesach.

Właściwie mówiąc, Napoleon miał na celu zaprowadzenie instytucji demokratycznych w Polsce, które zawarte były w programie jego cezarowskiej polityki. Utrzymuje to Skarbek, widząc w dążnościach Napoleona chęć ograniczenia prerogatyw szlachty. „Widoczne to — powiada on — i z szybkiego zniesienia niewolnictwa i z ogłoszenia praw obywatela.“ I w istocie art. IV konstytucji głosi: „Znosi się niewola, w s z y s c y o b y w a t e l e są r ó w n i w o b l i c z u p r a w a, stan osób zostaje pod opieką trybunałów.“

Dekret króla saskiego z dnia 21 grudnia 1807 r. dodaje do powyższego artykułu: „Każdy rolnik włościanin wolny jest wyprowadzić się

z miejsca, w którem dotąd pozostawał i przenieść się w obrębie Ks. Warsz. tam, gdzie dobra wola jego będzie.“ (§ I.) A dalej artykuł ten głosi, iż: włościanin wyprowadzający się ze wsi, w której dotąd pozostawał, winien oddać dziedzicowi własność gruntową tegoż dziedzica, składającą się z załogi, zasiewów itd. (§ 5). [Patrz o *Urządzeniu stosunków rolniczych*, A. Krzyżtopor, str. 326—328. Poznań 1860.]

Skutki takiego prawodawstwa w istocie rzeczy okazały się fatalnymi dla ekonomicznego stanu włościan! Swoboda osobista, właściwie mówiąc, zostaje ogłoszoną, lecz w jakich warunkach? bez żadnego uregulowania stosunków chłopa do pana. Prawodawstwo ogłasza zasadę abstrakcyjną, lecz całkiem nie myśli o realnym stanie rzeczy; znosi niewolnictwo, rozwiązuje wszelkie patrjarchalne węzły dawnego systemu feodalnego, lecz nic natomiast nie wprowadza: pozostawia, jednem słowem, *tabula rasa*.

Dzięki takiej *tabula rasa*, panowie czując się zupełnie wolnymi od wszelkich obowiązków względem włościan, pewni, że znajdą w każdej chwili ilość rąk potrzebnych dla rolnictwa, podnoszą, jakby przez jednomyślną uchwałę, powinności włościańskie, i zaczynają wyrzucać włościan z zajmowanej przez nich ziemi.

Wywłaszczanie włościan staje się zjawiskiem powszechnem, a na całej przestrzeni kraju rozwija się w niewidzianym do tej pory stopniu włóczęgostwo.

Posłuchajmy głosu historyków i osób, które zajmując oficjalne stanowiska, były świadkami owych smutnych wypadków.

„Panowie, — utrzymuje Michalski — pomimo, że nie mieli prawa podwyższać powinności i wypędzać włościan w ciągu 1 roku po ogłoszeniu praw konstytucyjnych, skorzystali ze swego prawa po upływie 1 roku; „to co powinno było stan włościan polepszyć, posłużyło tylko dla pogorszenia“ etc. (p. „*Włościanie i ich regulacja*“ Bibl. War. 1845 T. I. str. 505 i Idem. 1845 r. T. I. str. 372 T. III. str. 341 art. przez A. Michalskiego Król. Prus. Komis. Ek-go).

„Konstytucją 1807 r. włościanie zostali usamowolnieni, lecz jakże okropne są skutki instytucji nierozwiniętych... Tabelle statystyczne mówią: gospodarstwa opustoszały, lecz ludność kraju się nie zmniejszyła; a czemże jest w kraju naszym ludność nie przywiązana do roli, w kraju bez fabryk etc. Włościanin jest wolny, lecz czemże jest ta wolność bez własności? Jest pod opieką prawa, lecz któreż są drogi, któremi on trafi do stróżów tego prawa? etc. (p. *O uregulowaniu stosunków włościańskich w W. Ks. Poznańskiem.* Lipsk 1843 str. 93—94).

„Zdarzało się, że dziedzice nadużywając swej władzy, całe gromady porozpędzali; widziano wsie z ziemią zrównane, i całe ludności błąka-

jące się bez przytułku, dopóki kto pojedyńczo pustej roli, lub pustej komory w innem miejscu nie znalazł. Opuszczone pola przyłączono do folwarków lub oddawano niemcom-kolonistom etc. (p. *Krzyżtopór.* Ibidem str. 331—2.)"

„...Tym to sposobem stała się owa tyle upragniona wolność źródłem ich ubóstwa i demoralizacji... ile na tem straciło rolnictwo, oceni każdy, zważywszy na wielką ilość opuszczonych, czyli tak zwanych pustych ról, które nie tylko w pierwszych latach Księstwa, ale nawet w pomyślnych czasach królestwa po wszystkich niemal włościach napotykano etc. (p. *Skarbek.* Ibid. str. 291—21.)"

Dodajmy do tego kilka cyfr. Skarbek oblicza na 20.000 ilość włościan, wziętych dla samych robót fortyfikacyjnych i na 60.000 ilość rekrutów pociągniętych przez konskrypcję w przeciągu 2 lat tylko (patrz T. II. str. 278.) Simonenko oblicza na p o ł o w ę n i e m a l ilość włościan wywłaszczonych. „Cała masa włościan zamienioną została na najemników, a prawie połowa włościan pozbawioną została ziemi. (Simonenko. Srawnitielnaja Statistika Carstwa polskoho. Warszawa, 1879 str. 135.) Lat kilka, które oddzielają rok 1815 od 1823 nie zmieniły sytuacji; przeciwnie: „patrząc na wszystkie przygotowania i na obietnicę zaprowadzenia czegoś podobnego, jak regulacja w Prusach, zaczęli dziedzice już z s p e k u l a c j i miejsce wypowiadać włościanom... regiencje opierały się temu na drodze administracyjnej, ale napróżno, bo na drodze sądowej postępowanie dziedziców musiało być uważanem za prawne, ostatni więc zawsze korzystne otrzymywali wyroki (Michalski Ibid. str. 355). „Przekonawszy się, iż już 1500—2000 włościan wyrugowanych zostało, dopiero rząd wydał rozkaz gabinetowy dnia 6 maja 1819 r." etc. (patrz. Michalski Bibl. Warsz. 1845 T. III. str. 355).

ROZDZIAŁ II.

Położenie włościan i stan własności ziemskiej po r. 1823.

§ I. W s t ę p.

Wkrótce po podziale Ks. Warszawskiego otwiera się nowa epoka historyczna w dziejach włościan zainaugurowana wprowadzeniem wielkich reform 19 wieku, jak: e m a n c y p a c j a w ł o ś c i a n i u s t a n o w i e n i e d r o g ą p r a w o d a w s t w a w ł a s n o ś c i w ł o ś c i a ń s k i e j. — Stanowią one erę w ich historji, dokonywując jednocześnie gruntownej przemiany w ukształtowaniu socjalno-politycznych stosunków społeczeństwa. Nie ulega wątpliwości, że reformy agraryjne, przez to samo, że rozrywały łańcuch przywiązujący niewolnika do gleby, zmieniły radykalnie stosunek człowieka do rzeczy i stosunek człowieka do człowieka. We wszystkich krajach cywilizowanych, gdzie zostały dokonane, sprowadziły

one całą rewolucję w stosunkach ekonomicznych i społecznych, która da się streścić w ogólnych zarysach przez dwa następujące fakty: przetworzenie się zasady władania ziemią i uruchomienie własności rolnej. Dwa te fakty z góry orzekają o nowym stanie własności ziemskiej w ogóle i o własności włościańskiej w szczególe, również jak i o sytuacji ekonomicznej robotników rolnych. Z tego też względu reformy agraryjne są najważniejszym czynnikiem w historji włościan w 19 stuleciu. Lecz czynnik ten sam przez się może rozstrzygać à priori chyba o najbardziej ogólnych formach, jakie przybrały stosunki włościańskie po dokonaniu emancypacji włościan. Szczegóły tych stosunków, stanowiące indywidualne własności każdego kraju odrębnie, zależne są z jednej strony od historycznej przeszłości, tworzącej niejako grunt, na którym nowe życie zostało zaszczepionem, a z drugiej — od warunków innej natury, przy których reformy zostały zaprowadzone.

Co się tyczy historycznej przeszłości włościan, poświęcimy jej osobne studjum; wykażemy w niem, jak w dziejach naszych, począwszy już od końca 15 stulecia, następuje reakcja, jakim sposobem reakcja ta, czyli „zepsucie się stosunków społecznych" — mówiąc słowami jednego z historyków — objawia się w stosunkach szlachty do chłopów i jak najbardziej klasyczne objawy tej reakcji — ograniczenie osobistych praw włościanina i wywłaszczenie go z ziemi — wzmagają się coraz bardziej i nie ustają aż do czasu reform agraryjnych w 19 wieku. Chwila więc wprowadzenia reform zastała socjalny porządek w naszym kraju do gruntu spaczonym i popsutym.

Tymi faktami jednak, t. j. działaniem reform agraryjnych, na gruncie przez historyę urobionym, nie będziemy w stanie, dostatecznie objaśnić obecnego stanu własności rolnej i sytuacji włościan, jeśli zechcemy poddać je bezstronnej ocenie i zestawić sytuację włościanina polskiego w Poznańskiem, z położeniem najbliższego jego sąsiada Niemca. Nie możemy bowiem negować znaczenia czynników czysto przyrodzonych, od historji zupełnie niezależnych, jak gleba i klimat, właściwe W. Księstwu, które z natury swej wywierają bezpośredni wpływ na gospodarstwo rolne i jego charakter i tym sposobem bezpośrednio odbijają się na ekonomicznym bycie włościan.

Przechodząc do charakterystyki stosunków rolnych w Poznańskiem, reasumujemy wyżej powiedziane w dwóch następujących punktach:

1) Prawa agraryjne w chwili ich ogłoszenia zastały w Poznańskiem dany porządek socjalny i ekonomiczny, który był historycznym rezultatem naszej przeszłości.

2) Prawa te mając na względzie włościanina polskiego — jako dane historyczne indywiduum, zastosowane zostały do danego

objektu, t. j. do gleby, podlegającej specjalnym warunkom klimatologicznym, posiadającej bezpośrednio zależną od tych warunków produkcyjność, odpowiednią sposobowi uprawy, przyjętemu w prowincji Poznańskiej.

Należy więc zacząć przedewszystkiem od warunków przyrodzonych.

§ II. Klimat i gleba.

Klimat prow. Poznańskiej [1]) jest w ogóle umiarkowanym i sprzyjającym rolnictwu. Nosi on wyraźnie kontynentalny charakter, — znaczne obniżanie się temperatury w zimie i silne upały latem z przejściami bardzo raptownemi, — co spowodowuje spóźnioną częstokroć wegetację w wiosennej porze i również często przyspiesza chwilę zbiorów podczas lata. Kraj ten zajmując równinę, nie zakrytą górami, daje swobodny dostęp silnym suchym wiatrom, które wieją specjalnie w maju i czerwcu, osuszają rolę, a przytem spowodowują „białe mrozy", bardzo ujemnie wpływające na zbiory zboża podczas lata, a siana podczas jesieni. Upały, które wnet po wiośnie silnie się wzmagają, pod wpływem tych wiatrów, przyśpieszają zbiory, szczególnie tam, gdzie rola jest „lekką" tak, że zbiory te zupełnie się kończą w ostatnich dniach sierpnia [2])

W tym względzie, dwa obwody Bydgoski i Poznański, znajdują się w różnych warunkach.

Obwód Bydgoski, posiada mniej sprzyjające warunki, gdyż zajmuje północno-wschodnią część prowincji. „Przejścia od chłodu do ciepła powiada Meitzen, są bardzo raptowne we wschodniej części prowincji. Ciepło, dość już żywo czuć się dające na wiosnę, oddziaływa bardzo silnie na wegetację, wpływ zaś posuchy i „zapóźnionych mrozów" (nocnych) na zbiory wywołuje powszechne narzekanie. W skutek tego wiele dużych gospodarstw umniejszyło w nieproporcjonalnych rozmiarach uprawę zboża letniego (jarego) lub też całkowicie takową zarzuciło. [3])

Te niedogodności klimatologiczne skonstatowane zostały także przez ankietę 1875 r. [4]) i uznane, jako jedna z przyczyn upadku drobnej wła-

---

[1]) Nadal niejednokrotnie będziemy używali terminu „prowincja", jako przyjętego tak w języku administr. pruskim, jak też w źródłach oficjalnych, na które powoływać się będziemy.

[2]) Patrz „Die Baüerlichen Zustände" T. I. (wydawnictwo „Verein für Socialpolitik" a także „Jahrbuch für die Aemtliche Statistik des Preussischen Staates. Jahrgang I. str. 235.

[3]) A. Meitzen. „Der Boden und die Landwirthschaftlichen Verhältnisse des Preussischen Staates". Tom II. Rozd. XXI. str. 170.

[4]) Ankieta, zarządzona przez rząd Niemiecki w 1875 r. celem zbadania sytuacji drobnej własności rolnej i położenia robotników bezrolnych.

sności włościańskiej w ogóle w północnej i północno-wschodniej części Niemiec.

Przejdźmy z porządku do gleby. Gleba, z wyjątkiem kilku okolic zupełnie piasczystych, położonych na zachodzie i północno-wschodzie Poznańskiego, w ogóle jest urodzajną.

Znajdują się szczególnie znaczne przestrzenie ziemi „lekkiej“ nadające się do uprawy żyta i kartofli. Urodzajność wzmaga się w kierunku ku południo-zachodowi i dosięga najwyższego stopnia na Kujawach (powiat inowrocławski), mających zasłużoną sławę z urodzajności gleby.

Bardzo charakterystycznem z punktu urodzajności ziemi jest pomieszanie rozmaitych „klas“ gruntu, tak że w wielu powiatach 1sza klasa gruntu, (t. j. najbardziej urodzajnego), znajduje się obok gruntu bardzo lekkiego, piasczystego, zaledwie pokryć zdolnego wydatki na uprawę.

Rozpatrując odrębne powiaty w Poznańskiem, zauważyć możemy, iż w powiecie Wyrzyskim przeważa grunt szczególnie dobry dla żyta i jęczmienia. Powiaty Bukowski, Szamotulski, Poznański, Kościański, Średzki, Wrzesiński i Pleszewski posiadają ziemię „tłustą“ dobrą w ogóle dla uprawy. W powiatach Międzychodzkim, Międzyrzeckim, Babimostskim znajdują się niższe gatunki ziemi. Widzimy nakoniec ostatnie klasy w trójkącie piasczystym między Skwierzyną, Owińskiem i Poznaniem.

Aby wytworzyć sobie dokładne pojęcie o klasyfikacji urodzajności gleby w Poznańskiem i porównać takową z przeciętną urodzajnością w Prusach, zwróćmy się do cyfr, podanych przez Meitzena.

	Tłusta gleba	Gleba gliniasto-piaszczysta	Gleba piasczysta	Bagna	Wody	
Prow. Pozn.	9,74 %	48,10 %	33,16 %	7,10 %	2,10 %	= 100 %
Król. Pruskie	28,72 %	34,74 %	30,10 %	5,72 %	2,72 %	= 100 % [1])

Z cyfr tych widzimy odrazu, iż ze stanowiska urodzajności prowincja Poznańska znajduje się w warunkach mniej sprzyjających, aniżeli Prusy, a urodzajność jej niższą jest od przeciętnej pruskiej, gdyż kraj nasz posiada mniej gleby tłustej, a jednocześnie więcej piasczystej i bagien.

Co się tyczy sposobu uprawy ziemi, zauważyć winniśmy, iż system trzech-polowy jest w ogólnem użyciu w gospodarstwach włościańskich,

[1]) Patrz Meitzen. „Der Boden etc. Tom IV. str. 174—175.

i u drobnych posiadaczy, gdy tymczasem w wielkich majątkach przeważa płodozmian. [1]) W ogóle stan kultury demaskuje wszędzie swe niedawne początki: masa ziemi od połowy zeszłego stulecia począwszy aż dotąd, oddawana bywa pod uprawę przez karczowanie lasów. Ziemia zaś taka wymaga bardzo wiele starannego zachodu. [2])

Tymczasem u włościan stale czuć się daje brak odpowiednich dla uprawy ziemi kapitałów, co wedle uwagi „Jahrbuch'u" nie tylko sprowadza ujemne skutki dla uprawy roli, ale jest tamą nieprzepartą dla wszelkich ulepszeń i dla wprowadzenia postępowych zasad gospodarstwa. Nie odnosi się to jednak do majątków wielkich właścicieli, z których znaczna część używa wszelkich postępowych środków dla uprawy ziemi [3])

Dwie załączone tablice wskazują nam porównawczo:

Po 1sze ilość ziemi wydrenowanej przez włościan i przez większych właścicieli w 1855 r. [4])

Po 2gie rezultaty zbiorów w Poznańskiem, w porównaniu z przeciętną z 40tu prowincji cesarstwa Niemieckiego za rok 1881.

Ilość morgów ziemi wydrenowanych w 1855 r. [5])

Prowincja Poznańska	
Wielka własność	5,094 mor.
Mała własność	31 „

Zbiory w 1881 r.
(Ilość ton (1000 kil.) na 1 hektarze). [6])

	Pszenica	Żyto
Prowincja Poznańska	0,87	0,72
Przeciętna z 40 prowincji Cesarstwa Niemieckiego	1,13	0,92

[1]) Patrz „Jahrbuch für die Amt. Statistik. Tom I. str. 237.

[2]) Patrz Ibidem. str. 199.

[3]) Patrz „Jahrbuch" T. I. str. 237.

[4]) W źródłach oficjalnych nie znaleźliśmy, niestety, cyfr nowszych.

[5]) W tym samym roku drobna własność w prow. Nadreńskiej wydrenowała 2.409 morgów; ztąd możemy wnioskować o różnicy pomiędzy dwoma prowincjami. Dodajmy do tego, iż ze względu na ilość wydrenowanej ziemi w 1855 r. prow. Poznańska zajmuje ostatnie miejsce w Prusach.

[6]) Prowincja Poznańska zajmuje ostatnie miejsce pod względem urodzajności przeciętnej żyta w szeregu 40 prow. Cesarstwa. Co się tyczy urodzajności pszenicy w trochę lepszych jest warunkach, w każdym razie zajmuje 36 miejsce, niżej od niej w tym względzie są: Wsch. Prusy, okr. Hamburg, Sachsen — Meiningen. (Patrz Stat. Jahrbuch für das Deutsche Reich. 1883 IV Jahrgang str. 24.

Aby uzupełnić charakterystykę gospodarstwa rolnego, należy koniecznie uwzględnić produkcyjność ziemi w postaci czystego zysku z jednego morga. Załączamy dwie tablice, z których pierwsza wskazuje przeciętny czysty zysk ze wszelkich gatunków ziemi w r. 1866 i 1867 a druga — z dwóch klas ziemi najbardziej krańcowych, najlepszej i najgorszej.

Czysty zysk z morga ziemi uprawnej („Ertragsfähige Liegenschaften") [1] (wyrażony w Silbergroszach).

Prowincja Saska	62 Sgr.
„ Nadreńska	54 „
Westfalja	41 „
Prowincja Szląska	37 „
„ Brandenburska	26 „
Pomeranja	26 „
W. Ks. Poznańskie	22 „
Prusy (Wschod. i Zach.)	19 „

Czysty zysk z morga (wyrażony w Silbergroszach).

	Najgorsza ziemia	Najlepsza ziemia
Przeciętna z całych Prus	11 Sgr.	214 Sgr.
Przeciętna w prow. Poznańsk.	16 „	43 „

Widzimy z pierwszej tablicy, iż Poznańskie, pod względem czystego dochodu z ziemi zajmuje przedostatnie miejsce w rzędzie prowincji Królestwa Pruskiego; tylko Prusy Wschod. i Zachod. stoją niżej od niego. Zauważyć jednak wypada, iż w okręgu Gdańskim, czysty zysk z morga wyższym jest od przeciętnego zysku w Ks. Poznańskiem, wynosi bowiem 25 Sgr., w Gąbińskim zaś i Kwidzyńskim tylko 17 i 18 Silbergroszy.

Charakterystycznem jest, iż w obu ostatnich okręgach przeważającą jest ludność polska. [2])

§ III. Przemysł.

Charakterystyka uprzednia warunków klimatologicznych i stanu rolnictwa może nam dać pojęcie o materjalnym bycie całej prowincji, jeśli weźmiemy pod uwagę bardzo ważny fakt, a mianowicie: rozwój przemysłu w Poznańskiem.

Nie mamy zamiaru rozszerzać się nad tem, jakim ważnym czynnikiem dla bogactwa danego kraju jest harmonijny rozwój dwóch głównych gałęzi produkcji: rolnictwa i przemysłu, jak ścisły związek zachodzi

[1]) Pod tym terminem „E. Liegenschaften" prawo z 2 maja 1861 r. rozumie grunta, które płacą podatek rolny.
[2]) Patrz „Vergleichende Statistik". Kolb. 9 Auflage 1879 str. 46 do 47.

pomiędzy niemi, i jak one na się wzajemnie oddziaływują. Zaznaczymy jedynie, iż odpowiedni rozwój przemysłu wywiera — jak to konstatują Ankieta 1875 r. i profesor Goltz — bezpośredni wpływ na podnoszenie się płacy robotników rolnych, na rozwój ich potrzeb i w ogóle na ekonomiczno-socjalny stan klas rolnych.

Co się tyczy rozwoju przemysłu prow. Poznańska zacofaną jest bardzo i znajduje się na niskim stopniu w porównaniu z innemi prowincjami Kr. Pruskiego, a szczególniej z południowemi i zachodnio-południowemi. Sądzić o tem możemy z następujących danych:

1) z odrębnych kategorji, na które wedle charakteru pracy, klasyfikuje się ludność prowincji;

2) z ilości kotłów parowych, używanych w przemyśle, i nakoniec

3) z przeważającego charakteru przemysłu.

Wedle ostatniego spisu ludności dokonanego w dniu 1 grudnia 1880 w Ces. Niemieckiem,[1]) ludność prow. Poznańskiej wynosiła 1,703.397 osób i rozpada się na następujące kategorje (wedle charakteru pracy).

Rolnictwo i chów bydła	Przemysł i rzemiosła	Handel i komunikacje	Służba domowa	Wojskowi i wolne zawody	Służba	Bez określonego zawodu	Członkowie rodzin uprzedn. kategorji
395,392 osób	104,162	33,597	18,849	30,486	52,090	34,259	996,782

Z tablicy tej widać, jak nieznaczna stosunkowo liczba osób trudni się przemysłem. Przytem liczba robotników w wielkich fabrykach wynosząca tylko 24,323[2]) bezpośrednio każe wnioskować, iż przeważa drobny przemysł, a nie industrja na wielką skalę.

Popatrzmy teraz ile jest kotłów parowych w Poznańskiem w zestawieniu z innemi prowincjami Kr. Pruskiego.

Prowincje.

Ilość Kotłów parowych.

Szląska	Westfalja	Brandenburska	Saska	Hannowerska	Hesko-Nassauska	Pomeranja	W. Ks. Poznańskie	Zach. Prusy	Wschod. Prusy
5,449	4,904	3,697	3,623	1,892	1,078	981	788	640	600 [3])

[1]) Patrz „Jahrbuch“ 1883.
[2]) Patrz Jahres-Bericht der Fabrik-Inspektoren r. 1881 str. 55.
[3]) Patrz Zeitalter des Dampfes Dr. Engel. Berlin r. 1881 str. 16—18.

Tablica przytoczona wskazuje nam, iż pod względem ilości kotłów parowych, używanych w przemyśle dwie tylko prowincje stoją niżej od Poznańskiego; wypada jednak dodać, że z ogólnej liczby 788 kotłów, 501 funkcjonuje przy wyrabianiu produktów pokarmowych.

Cyfra ta uwidocznia, iż najbardziej rozwiniętą gałęzią przemysłu jest produkcja środków pokarmowych. W gałęzi tej „najlepiej są reprezentowane młyny (wiatraki, wodne, parowe) w ilości 2946 i dystylarnie 415“. Dodajmy, że „fabryki cukru, alkoholu, młyny znajdują się na drodze stałego rozwoju“.

W ogóle jednak biorąc wielki przemysł nie istnieje jeszcze w Poznańskiem. *(C. d. n.)*



Z pamiętników więźnia stanu

lat ostatnich.

przez

Florjana Bohdanowicza.

Wyrokiem sądu wojennego kijowskiego z dnia 21 (11) lipca 1879 r. skazany zostałem za nieudowodniony mi udział w stowarzyszeniu socjalno-rewolucyjnem na sześć lat ciężkich robót. [1]) W kilka dni potem złączono mnie z kilkunastu innymi więźniami stanu i odprawiono etapem na Sybir do kopalni złota w Karze. Współtowarzyszami mymi w tej przykrej podróży byli ludzie różnego wieku, stanu, stopnia wykształcenia i narodowości. [2]) Znalazłem między nimi ludzi nauki, a przedewszystkiem wysokiej moralności i niewzruszonych przekonań politycznych. Silni wiarą w zwycięztwo swej idei, szli na spodziewaną mękę z chrystusową rezygnacją, i z tem poczuciem osobistej godności, która zwykła jednać ludziom uznanie nawet zawziętych politycznych wrogów.

Niejednemu z czytelników, czerpiących opinię o socjalistach rosyjskich z nieprzychylnego dziennikarstwa urzędowego, a w części i nieurzę-

[1]) W czasie podróży mojej ze Lwowa na Ukrainę w r. 1876 zostałem na drodze zatrzymanym przez władze rosyjskie i w charakterze podejrzanego o zamiar rozpowszechniania książek treści zakazanej, wtrącony do więzienia śledczego. Po trzechletnim tam pobycie stawiono mię w r. 1879 przed sąd wojenny, który mimo braku wszelkich dowodów uzasadniających podejrzenie, ukarał mię sześcioletnią katorgą.

[2]) Z polaków byli: Kostecki, Studziński, Bogrynowski, Rybicki, Witaszewski, Kozakiewicz, Krzeczetowicz, Zubrzycki i t. d.

dowego, zdanie powyższe może się wydawać dziwnem lub nawet zmyślonem. Nie myślę go bronić, bezwzględu na mogące mnie spotkać zarzuty, w przeświadczeniu, że błoto, którem rząd rosyjski zwykł od wieków tak szczodrze obrzucać swych wrogów politycznych, nie plami nigdy ich lica.

Pozostawiając zwycięztwo prawdy czasowi, wracam do rzeczy.

Komendant więzienia karyjskiego, pułkownik Kononowicz, człowiek ludzki, prawy i wykształcony, przyjął więźniów z szlachetną wyrozumiałością, polecając rządcy więzienia najdelikatniejsze z nimi obchodzenie się i natychmiastowe zaspakajanie żądań i potrzeb, objętych instrukcją przez niego samego napisaną. Dzięki tej wyrozumiałości komendanta nie zamykano nas w dzień, pozwalano zajmować się rzemiosłami, uczęszczać na roboty ziemne i utrzymywać korespondencję z krajem i rodziną.

Chociaż więc życie więźniów, ze względu na samą niewolę przyjemnem być nie mogło, to przecież dozwolone im zajęcia, a głównie podtrzymywanie stosunków z krajem i rodziną, chroniły nie jednego od apatji i rozpaczy, owych dezorganizacyjnych potęg, których każdy więzień wcześniej czy później staje się pastwą. Niemałe także znaczenie w podtrzymywaniu ducha więźniów mieli nowo przybyli współtowarzysze, którzy zwiększyli wkrótce liczbę ogólną do siedemdziesięciu kilku.

Ten stan rzeczy nie trwał jednak długo i ostatecznie został zachwiany z chwilą zajęcia przez hr. Loris Mielikowa wysokiego stanowiska wielkorządcy Carstwa. Chytry i przebiegły ten człowiek, nie zdejmował ani na chwilę maski liberała, dzięki której, a właściwie kasie państwowej i orderom, tak szczodrze na przedstawienie jego przez cara rozdawanym, zdołał w krótkim czasie niemało ludności kaukaskiej zmoskwicić i w niewolników carskich zamienić. Zdobywszy tanim kosztem krzesło dyktatorskie, umiał nadal tak zręcznie kierować swą chytrą polityką, iż jedną rękę wyciągał po sowicie mu rzucane wieńce konstytucyjne, drugą zaś roznosił ucisk i prześladowania wszędzie, gdzie z powodu dobrze znanych okoliczności, niecne jego postępki nie mogły być światu wiadome. Otóż ręka tego pseudo-liberała-konstytucjonalisty ołowianym ciężarem spoczęła na karkach więźniów, pozbawiając ich i tej odrobiny wolności, która od wielu dziesiątków lat tradycyjnie spadała na wszystkich przestępców politycznych, osądzonych do ciężkich robót. Na wolność tę składały się: po 1. Podtrzymywanie korespondencji z krajem i rodziną, rozumie się pod cenzurą rządową. 2. Oswabadzanie więźniów w porze dziennej z pod klucza. 3. Prawo zamieszkiwania na wolnej stopie, przysługujące tym więźniom, którzy odsiedzieli $^1/_3$ naznaczonej im kary.

Wprowadzenie tej nowej instrukcji na samym wstępie okupiono czterema ofiarami — samobójstwem więźniów stanu: Siemianowskiego i Radina, tudzież przedwczesną śmiercią dwóch drugich, Machmet-hana i Opryszki. Te nieszczęśliwe ofiary skłoniły ówczesnego komendanta Kononowicza do porobienia więźniom pewnych ustępstw, za które, dzięki wyrozumiałości tymczasowego Generał-gubernatora Szalasnikowa, nie został pociągniętym do żadnej odpowiedzialności. Ale niestety! w tym czasie spadła na całą Wschodnią Syberję klęska, nie mniej straszna od ognia i powodzi, a klęskę tę nieśli: nowo mianowany Generał-gubernator irkucki, Anuczyn, i gubernator zabajkalskiej ziemi, generał Iliaszewicz.

Jeżeli, jak twierdzi jeden z literatów rosyjskich, hr. Berg, były namiestnik Królestwa Polskiego, robił wrażenie drzemiącego kota, Murawiew wieszatiel — tygrysa, to Anuczyn — jaguara w glansowanych rękawiczkach. W istocie, był to człowiek nader światowy, władał wybornie językami europejskimi, a będąc długie lata w służbie dyplomatycznej, przyswoił sobie ton i maniery sfer wyższych. Ale pod tą ogładzona powłoką, kryły się najbrudniejsze i najnikczemniejsze instynkty. Zarozumiały ten, mściwy i bezlitośny cynik z nienasyconą żądzą władzy i mienia, już pierwsze chwile swego panowania zaznaczył obelżywem i zuchwałem obejściem się z najdostojniejszymi mieszkańcami Irkucka, a w ślad zatem szeregiem zdzierstw, dokonanych, rozumie się, w sposób dyplomatyczny na tamecznych kupcach i okolicznych włościanach.

Powitawszy należycie wolnych mieszkańców Wschodniej Syberyi, Anuczyn zwrócił się ku właściwemu przedmiotowi swych prześladowań, a mianowicie ku więźniom stanu. Przekonawszy się wkrótce, że komendant karyjskiego więzienia, Kononowicz, jako człowiek wykształcony i samodzielny, nie był zdolnym stać się jego narzędziem, usunął go natychmiast, zastępując słynnym w całej prowincyi awanturnikiem i pijakiem, majorem Potułowem. [3]) Ale i ta niekorzystna dla więźniów zamiana, nie byłaby w swych skutkach tak zabójczą, gdyby nie znaleźli potężniejszego ciemiężyciela w nowo przybyłym gubernatorze, generale Iliaszewiczu.

Jeżeli Anuczyna wiodła do Syberji żądza władzy i mienia, to Iliaszewiczem powodowała jedynie ta ostatnia. Pierwszy darł niemiłosiernie, za-

---

[3]) Potułow, będąc policmajstrem w Czycie, zażądał pewnego dnia od jednego kupca polaka, kilku butelek rumu. Otrzymawszy odmowną odpowiedź, w napadzie wściekłości postanowił ukarać go śmiercią. Jakoż nocą na dziedzińcu policyjnym wzniesiono szubienicę, sprowadzonej przemocą ofierze zarzucono pętlę i odtrącono już podnóżek. Na szczęście jeden z urzędników gubernialnych, zawiadomiony o zaszłym wypadku, pędem podążył na miejsce egzekucji i w czas jeszcze zdołał przeciąć postronek kostniejącej już ofierze.

chowując jednakże incognito, drugi — pijak i szuler z profesji, nie troszcząc się o opinię, zabierał wszystko, co się dało, otwarcie. Nie ma w całej ziemi zabajkalskiej ani jednego kozaka lub burjata, któryby na swem mieniu nie poczuł ostrych pazurów gubernatora-grabiciela. Co się nie dało owładnąć przemocą, to się zabierało podstępem. Przekonawszy się iż Burjaci, plemię lękliwe i półdzikie, skłonni są zawsze do okupienia domowego spokoju wszelkiemi ofiarami, Iliaszewicz przedsięwziął wraz ze swą małżonką szereg zyskownych wycieczek w stepy burjackie, szukając gościnności u ich mieszkańców. Burjaci, zdumieni widokiem tak dostojnych gości, darzyli ich wszystkiem, czem jak to mówią, chata bogata i rada. Gubernatorstwo powracali z każdej takiej ekskursji obdarowani srebrem, stadami koni, owiec i bydła rogatego.

Prócz wspomnianych wycieczek, gubernator nie zaniedbywał zwiększać swego mienia drogą przeróżnych zyskownych przedsiębiorstw. Dla przykładu tej działalności gubernatorskiej przytoczę jeden drobny wypadek, który w następstwach swych bardzo niekorzystnie odbił się na więźniach.

Podczas rozwijającego się w karyjskich więzieniach szkorbutu, lekarz miejscowy, Siergiejewski, w celu przerwania tej choroby wymógł na administracji zamianę mięsa solonego na świeże. Jednocześnie jakoś nadszedł do Kary nowy transport pekefleiszu w ilości 2.000 pudów (40.000 kg.). Dr. Siergiejewski, przekonawszy się że ów pekefleisz jest na pół zgniłym, stanowczo odmówił przyjęcia go. W parę godzin po tej odmowie otrzymano telegraficzny rozkaz od gubernatora natychmiastowego przyjęcia cuchnącego mięsa, przyczem dostała się także nagana dr. Siergiejewskiemu. Okazało się, że współwłaścicielem owego transportu mięsa był sam gubernator. Mając na myśli wyłącznie wzbogacenie się, Iliaszewicz nie zwracał uwagi na więźniów stanu, ale Anuczyn nie przestawał mu przypominać jego obowiązków, i ręka obu ciemiężców coraz dotkliwiej czuć się im dawała. Wzbroniono prowadzenia wszelkiej korespondencji nawet z rodziną, odebrano materjały piśmienne, książki i narzędzia rzemieślnicze. Żonom więźniów nie pozwolono odwiedzać swych mężów, ani też zajmować się kształceniem dzieci miejscowych mieszkańców, a matkę jednego z więźniów, panią Kamieńską, wiekową i ze wszech miar godną matronę, przybyłą tu dzielić wygnanie syna, wyrzucono pod konwojem kozackim za granicę okręgu. Położenie więźniów z każdym niemal tygodniem stawało się przykrzejsze, bo każdy z nich przynosił z sobą nowe rozporządzenia, pozbawiające stopniowo wszystkiego, cokolwiek od ostatecznej rozpaczy ochronić mogło.

Jeżeli ucisk podobny był nie do zniesienia dla kilkuletnich skazańców, to jakże szkodliwie odbijać się musiał na tych, których złowroga dola zagnała tu na całe życie. Jedynym ratunkiem mogła być ucieczka. Wprawdzie szanse na jej powodzenie były bardzo małe, ale i wybór środków nie większy. Należało oczekiwać śmierci w powolnych męczarniach, albo też życie cisnąć na kartę. A może los nam będzie sprzyjał, mniemali niektórzy — i z całą energją chwycono się tej myśli. Wprawdzie na samym wstępie natrafiono na niesłychane przeszkody w torowaniu sobie wyjścia. Teren, na którym stał budynek więzienny, był do głębokości 2'/ łokci zasypany warstwą cementowanego znacznej wielkości kamienia. Należało pod czujnem okiem straży wyrąbać otwór w tej żywej opoce, a pod nią dopiero — dwudziestokilko - łokciowej długości podziemny korytarz aż po za linję zewnętrznych posterunków. Wykonanie tej niesłychanie trudnej roboty bez żadnych narzędzi byłoby niemożliwem, gdyby nie przyszły więźniom w pomoc, z jednej strony ich własna, żadnemi nastręczającemi się przeszkodami niezłamana wytrwałość, z drugiej zaś, bezprzykładna obojętność żołnierza zarówno rosyjskiego jak i sybirskiego, na wszystkie rozporządzenia jego urzędowej zwierzchności. Pod okiem tego żołnierza wyjęli więźniowie w narożnej celi dwie grube belki z podłogi, a dobrawszy się do cementowanej podsypki, każdej nocy wybierali po kilkadziesiąt kamieni, docierając już do właściwego gruntu. Prowadzenie podziemnego korytarza połączone było z niesłychanemi trudnościami ze względu na zupełny brak narzędzi, jak niemniej dlatego, że musiano pracować późną nocą z zachowaniem wszelkich ostrożności. Kamienie wydobyte z terenu chowano starannie w kieszeniach albo między bielizną, wysypując je podczas przechadzki razem z ziemią i odłamkami cementu pod podłogę pobliskiego magazynu. Mozolna ta, czteromiesięczna robota była już na ukończeniu, kiedy z nadejściem wiosny wezbrana rzeka zamuliwszy znaczną część podkopu, zatamowała możność wyjścia. Nadto zaszły, jak to zwykle bywa w takich razach, nieporozumienia między samymi więźniami, co właściwie stało się główną przyczyną do zaniechania projektu ucieczki.

W tymże jednak czasie przybyła do Kary nowa partja więźniów, a między nimi kilka wpływowych osób, używających szacunku nawet u władz rządowych. Był tu Kowalik, b. prezes sądu pokojowego, Wojnaralski, doktor Wejmar i Myszkin znany w całej Rosyi ze swej niezwykłej śmiałości, energji i bezgranicznego poświęcenia się dla sprawy. [1])

[1]) Myszkin, sądzony jeszcze w r. 1876, odsiedział już prawie całą karę w więzieniu Charkowskiem, atoli w przechodzie przez Irkuck w 1882 r. na pogrzebie swego towarzysza Dmuchowskiego, wystąpił w obec zebranych w cerkwi władz miejscowych z mową pełną entuzjazmu, za którą sąd irkucki skazał go na 10 lat ciężkich robót.

Nowo przybyli wnieśli między zwaśnionych pierwiastek zgody i odnowili tem samem gasnącą myśl ucieczki. O restauracji podkopu mowy być nie mogło, tak był zamulony; postanowiono więc zaniechać ucieczki z wnętrza więzienia, a przeznaczono na ten cel dom stojący za palisadą, zamieniony na pracownię dla więźniów, oddających się rzemiosłom. Otóż w pułapie tego domu udało się wypiłować otwór, przez który można było wydostać się na strych, stąd zaś spuścić na ziemię. Szło tylko o to, aby w tym domu ukryć się przed okiem władzy. Nie nastręczało to wielkich trudności w obec rządcy więzienia i kozaków często mylących się w rachubie. Bądź co bądź postanowiono spróbować szczęścia. Dnia 19 kwietnia, późną nocą, Chruszczow i Myszkin ukryci w pracowni, zeszli pierwsi niepostrzeżeni przez stojącego tuż pod ścianą szyldwacha. Ucieczka ich byłaby została przez całe tygodnie, a może i miesiące w tajemnicy przed władzą pomimo osobistej na ten czas obecności głównego naczelnika więzień cesarskich, Gałkin-Wraskiego. Ów Senator liberał, słynny reformator instytucji karnych, zachowaniem się swem robił wrażenie raczej zwykłego policjanta, niż człowieka wyższego umysłu, za jakiego ogłosiło go dziennikarstwo urzędowe. Zamiast wejść w położenie więźniów zwracał on wyłącznie uwagę na czajniki i szklanki, które, jako przedmioty nie objęte instrukcją, kazał z więzienia usunąć. Drugą jego reformą było urządzenie w izbie wizytowej kraty, odgradzającej więźniów od odwiedzających gości. Senatorowi asystował gubernator Iliaszewicz z całą świtą. Obejrzawszy przelotnie wszystkie więzienia karyjskie, odjechali ci wysocy urzędnicy. Wraski skierował się ku Petersburgowi, Iliaszewicz zaś pozostał w Czycie.

Tymczasem w ośm dni po wyjeździe dygnitarzy, za przykładem Myszkina i Chruszczowa poszła druga para więźniów, następnego dnia trzecia, i bezwątpienia byłoby ich uszło jeszcze z jakie sześć par, gdyby dwaj ostatni, młodzi, zachowali więcej taktu i przezorności. Większość więźniów, którym dobrze była znaną ich lekkomyślność przeciwną była ich ucieczce, lecz niestety kandydatów do ucieczki nie wybierano przez głosowanie, lecz przez losowanie. Ogół bez względu na sympatje osobiste czynił wszystko co mógł, dla ułatwienia ucieczki towarzyszom. Trudności ukrywania nieobecnych rosły ze zmniejszającą się liczbą pozostałych. Trzeba było robić automaty i nadawać im w czasie kontroli rannej i wieczornej pozory więźniów. Sztuka ta przy słabem oświetleniu więziennem wcale nie źle się udawała. Niestety, dwaj ostatni zbiedzy hałaśliwem swem zachowaniem się położyli koniec całej sprawie. Szyldwach usłyszawszy niezwykły łomot w późnej porze, dał ognia alarmując całą załogę.

Przewidziany ten wystrzał oznajmił czuwającym więźniom o smu-

tnym epilogu. Rzucono więc w okamgnieniu automaty w ogień, podtrzymywany do późnej nocy w piecach, drzwiczki pogruchotano, odzież zaś i wszelkie podejrzane narzędzia ukryto starannie. Wszystko to załatwiono z taką szybkością, iż rządca więzienia, który w kilka minut po wystrzale szyldwacha wbiegł pędem z kozakami do więzienia, zastał tam więźniów, leżących jak zwykle spokojnie na swych miejscach. Niestety, ośm opróżnionych miejsc po nieobecnych okazały mu całe położenie. W parę godzin przybył komendant Potułów z całą setnią kozaków. Sprawdziwszy osobiście nieobecność ośmiu więźniów, a nie mogąc nic bliższego dowiedzieć się od pozostałych, wpadł w taką wściekłość ,iż kazał kilkudziesięciu kryminalistom toporami i rydlami powywracać wszystkie sprzęty i zrównać z ziemią inspekty i flance roślinne, owoc mozolnej pracy więźniów botaników. W ślad za Potułowem zjawił się z siłą zbrojną komendant wojsk karyjskich, major Rudenko, jedna z najnikczemniejszych kreatur, w jakie obfituje armja sybirska. Usiłował on koniecznie wywołać krwawe starcie pomiędzy więźniami a żołnierzami, a gdy to mu się nie udało, zniszczył wszystko, co jeszcze ocalało od napadu Potułowa. Napady zbrojne powtarzały się bez przerwy; powyłamywano podłogę, podkopywano się pod fundamenta, ale te i tym podobne poszukiwania nie wykryły właściwego miejsca ucieczki.

Wieść o dokonanej ucieczce, zakomunikowana telegraficznie Gubernatorowi, skłoniła go do przyzwania na pomoc zdążającego ku Petersburgowi, Senatora Gałkin Wraskiego. Obaj z siłą zbrojną, policją i sądem wojennym wyruszyli dnia 4. maja parowcem do Kary, a połączywszy się z miejscowymi komendantami, Potułowem i Rudenką, nadali ucieczce charakter buntu, torując sobie drogę do więzienia bagnetem.

Barbarzyński ten napad uprzedzono wysłaniem następującego ultimatum:

1) Więźniowie mają natychmiast oddać władzy swoją bieliznę, odzież książki i wszelkie inne przedmioty, nie objęte instrukcją więzienną.

2) Przywdziać kajdany.

3) Pogolić głowy.

Na to odpowiedzieli więźniowie, iż pierwszemu i drugiemu żądaniu gotowi są w każdej chwili zadość uczynić, co się zaś tycze golenia głów, to tej poniżającej ceremonji może gubernator dokonać na ich trupach.

Po takiej odpowiedzi można się było spodziewać zbrojnego najścia. O obronie nie było mowy, bo prócz kilku siekier i nożów żadnej nie mieliśmy broni. Dla ocalenia honoru chwycono się tedy środka, jaki nastręcza rozpacz. W tym celu zarzucono zapiecki pięciu izb więziennych drzewem i trzaskami zwilżonemi naftą, na kurytarzu wzniesiono

barykadę, tamującą przystęp żołnierzom, powyrywano z drzwi wrzeciądze i przecznice żelazne, a dla obserwacji nad nieprzyjacielem rozstawiono na dachach pikiety. Wszystko to działo się w największej przed strażą tajemnicy, ale zapewne oficer dyżurny, lub też który z kozaków, zauważywszy niezwykły ruch w więzieniu, dał znać gubernatorowi o przygotowującej się obronie. Gubernator, ukrywając zamiar najścia, kazał zawiadomić więźniów o pozostawieniu ich przy dawnych prawach, a zarazem o swoim wyjeździe z Czyty.

Pomimo owego zapewnienia, a nawet pomimo wielodniowego nienaruszania spokoju więźniów, ci mieli się wciąż na ostróżności; znużeni jednak ciągłą bezsennością, po pięciu dniach czuwania legli na spoczynek. Sen ich nie trwał długo, bo już o godzinie trzeciej z rana, każdy przecierał oczy, odganiając od siebie trapiącą go zmorę. A nie było to senne widzenie, ale przykra rzeczywistość: przed każdym więźniem stało kilku kozaków krępując nogi i ręce śpiących grubymi powrozami. Teraz przekonano się dotykalnie o obecności w Karze gubernatora Iliaszewicza.

Zamaskowawszy swe złowrogie zamiary umyślnie puszczoną pogłoską o swym odjeździe, podstąpił on nocą pod ściany więzienia z sześcioma setniami piechoty kozackiej, z oddziałem konnicy, ambulansem szpitalnym, z doktorem Siergiejewskim i dwoma felczerami. Dowiedziawszy się jednak, że wszyscy więźniowie pogrążeni są we śnie, wprowadził cichaczem do więzienia trzy setnie kozaków, rozkazał im śpiących powiązać i zbić kolbami, a przebrawszy ich przemocą w odzież aresztancką, kazał po dziesiątce odprowadzać pod silnym konwojem do okolicznych więzień.

Dola wszystkich dziesiątek była mniej więcej jednakowa. Wystarczy więc, gdy opowiem o smutnych przejściach tej, do której należałem. Zaraz na progu bramy więziennej spotkaliśmy marsowe oblicze walecznego generała, który rozkazał jednej z kolumn odprowadzić nas do więzienia amurskiego. Dowódca tej kolumny, setnik Puczków, oddając nas w ręce swej setni. tak do niej przemówił: „Oto buntownicy! mordercy! carobójcy! zaprowadzić ich żywcem do odwachu amurskiego i baczyć pilnie, aby który z nich nie uciekł, bo ci czarownicy was wszystkich gotowi wyprowadzić w pole. Jeżeli który z nich opóźniać się będzie w pochodzie, to bijcie go kolbą po żebrach. Zresztą ja sam podążam za wami. Czy słyszycie bałwany? Naprzód! Marsz!

Na daną komendę ruszyliśmy ku Amurowi. Droga była błotnista, przerzynana strumykami przeciskającymi się poprzez skaliste szczeliny. Resztki śniegów, występujące jeszcze tu i owdzie na rozległych błoniach, znikały pod ożywczem ciepłem promieni słonecznych. O błogie tchnie-

nie wiosny! Jestże na tej ziemi choć jedna żywa istota, którejby ono nie poiło weselem. Lecz wiosna w pierś spragnioną wolności wnosi tylko smutek. Tym razem i owe pieszczotliwe dźwięki budzącej się natury nie dochodziły naszych uszów, tłumione chrapliwą komendą: paszoł! paszoł! Słowa te jednak popierane kolbami nie wiele skutkowały. Niewymowne znużenie więźniów czyniło ich obojętnymi na wszystko, przyspieszenie kroku było wprost niemożliwem ze względu na kamienistą drogę, po której stąpaliśmy boso. Przechodząc koło ruczaju chcieliśmy ugasić wodą trawiące nas pragnienie i usiedliśmy na brzegu. „Paszoł! paszoł!“ ryknął nasz setnik jak niedźwiedź raniony oszczepem i wywijając obnażoną szablą krzyczał „paszoł“. Idźmy, odezwał się jeden z naszych towarzyszy — z bydlęciem nie warto mówić“. Mołczat'! wrzasnął całem gardłem setnik, nakazując użyć bagnetów! Ryk ten atoli nie wywarł pożądanego skutku. Kozacy spojrzeli po sobie, a my wolnym krokiem ruszyliśmy dalej.

O godzinie trzeciej byliśmy u kresu naszej podróży: zaprowadzono nas do małej, brudnej, wilgotnej komórki, gdzie bez żadnej strawy oczekiwaliśmy ranka. Spać było niepodobieństwem ze względu na ciasnotę, dotkliwy chłód, brak pościeli i roje pełzającego po ścianach i podłodze robactwa. Znużenie jednak wzięło górę nad temi nieprzyjaznemi okolicznościami. Nad ranem uczuliśmy na sobie ruchomy ciężar, zostawiający po sobie bolesne ślady. To Puczków z swymi kozakami spacerował bez ceremonnii po naszych żebrach jak po dywanie...

Jednocześnie rozległ się straszny ryk „powierka“! (sprawdzać), Nie było czasu protestować przeciw temu osobliwemu sposobowi kontroli, gdyż w ślad za deptaniem następowały razy pięści, po których każdy z nas dawał znak swej bytności podniesieniem głowy i odpowiednimi odruchami członków. Atoli te oznaki istnienia nie wystarczały naszemu dostojnemu setnikowi. Rozkazał on kozakom podnieść nas przemocą i ustawić w jeden szereg. Lecz gdy wszelkie usiłowania okazały się nadaremne, wynoszono nas po jednemu na odwach, rozbierano do naga, szczypano po żebrach i w ten sposób zrewidowanych zapędzano na powrót do izby więziennej. Około południa przyniesiono nam kilka kawałków zapleśniałego chleba i miskę cuchnącego kapuśniaku, chorym zaś, którzy niebyli w stanie przyjmować tej strawy, odmówiono nawet garści słomy na pościel. Wzbroniono też najsurowiej używania światła wieczór, a gdy jeden z naszych towarzyszy uległ napadowi choroby, straż biorąc konwulsyjne jego krzyki za sygnał do mniemanego buntu, kulami chciała godzić w więźniów, zakłopotanych do reszty tym wypadkiem.

Wśród tych zabójczych warunków, mijały dni i tygodnie, dopiero gdy dwóch więźniów śmiertelnie zachorowało, zjawił się komendant, a przekonawszy się naocznie o stanie rzeczy, kazał jednego z nich przenieść do lazaretu, drugiego zaś do głównego więzienia.

Po tej wizycie odprawiono mnie do owego więzienia głównego na kurację. Ponieważ straż moja zmieniła się w połowie drogi, t. j. w Wierzchniej Karze, gdzie więziono jednę z naszych dziesiątek, przeto korzystając z nieobecności miejscowego setnika zaszedłem odwiedzić swych towarzyszy. Warunki ich egzystencji były tę same co nasze, wszyscy oni leżeli w ciasnej i dusznej atmosferze pokotem na wilgotnej podłodze; dwaj z nich znajdowali się w stanie maligny...

Po odmianie straży poszedłem dalej. Odprowadzający mnie kozacy, ludzie dobroduszni, poczęli ze mną pierwsi pełną otwartości rozmowę:

— Z jakiego powodu odsyłają cię do więzienia głównego? — zapytał mnie jeden.

— Z powodu słabości — odrzekłem.

— Tam gorzej niż w Amurze — dodał.

— Dla czego? — spytałem.

— Alboż to nie wiesz, że tam Rudenko mści się nad wami za swe ucho?

— Za jakie ucho? — zapytałem.

— Wszak jeden z waszych oderwał mu je. Szkoda tylko, że mu czaszki nie rozbił; ten łotr zamorzy nas wszystkich głodem i zamęczy musztrą.

Tak rozmawiając, zbliżyliśmy się do drzwi odwachu więzienia głównego. Podoficer zostawiwszy mnie na dworze, poszedł zameldować komendantowi.

Po chwili usłyszałem grzmiący głos:

— Dwunastu żołnierzy! Zrewidować go jak najściślej i odprowadzić do więzienia!

Rozkaz komendanta natychmiast został spełniony, a po upływie kilku minut znalazłem się przed drzwiami dawniejszej naszej rezydencji. Wszystko tu było nie do poznania, kurytarz zapełniony żołdactwem i spędzonymi ze wszech stron rzemieślnikami. Obszerne izby przeistoczono w klatki. Nasza odzież, bielizna, narzędzia fizyczne i chemiczne, różne kosztowności, wszystko to zmięszane razem poniewierało się w izbie więziennej, a żołnierze nie mogąc dostać się do wnętrza, wybierali przez kratę przy pomocy długich haków złote zegarki, łańcuszki i t. d. Wchodząc do izby, przeznaczonej na mieszkanie, uderzył mię okropny widok. Więźniowie leżeli pokotem na gołej podłodze, jedni w paroksyzmie febry, drudzy niby zdrowsi, zarówno wyżółkli i schudzeni, podobniejsi

byli do umarłych niż do żywych. Wyraz głębokiego cierpienia wpił się we wszystkie twarze.

W otwierających się z trzaskiem drzwiach ujrzałem dwóch oficerów, a za nimi dwa plutony karabinierów. Na dany znak zdzierali żołnierze z całą brutalnością odzież z więźniów, zagłębiali swe palce w usta, szukając pod językiem karteczek lub ołówków, depcąc przytem obcasami obłożnie chorych.

Rozumie się, że sam na wstępie stałem się ofiarą tego brutalnego napadu. Miał to być początek naznaczonej mi przez komendanta kuracji.

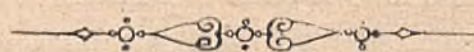
Więźniowie ci po owym gubernatorskim napadzie byli — jak się później dowiedziałem — powtórnie nawiedzeni przez obu komendantów, Potułowa i Rudenkę i traktowani przez nich ubliżającemi słowy, co spowodowało pokrzywdzonych do zrobienia im odpowiedniej uwagi. Odpowiedzią na to było obicie kolbami wszystkich więźniów.

Owóż w czasie tej napaści, jeden z więźniów chwycił za deskę, aby się zasłonić przed grożącym mu ciosem, lecz w skutek uderzenia w łokieć, podrzucona w górę deska uderzyła w głowę Rudenkę i skrwawiła mu ucho. Waleczny komendant skorzystał z tej okoliczności, aby wytoczyć więźniom proces o zamach na życie.

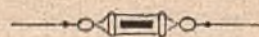
Oficerowie, z którymi mieliśmy do czynienia, z wyjątkiem czcigodnego setnika Janowskiego, byli to zdemoralizowani opilcy, nie zasługujący na nazwę ludzi. I nic w tem dziwnego. Starszyzna wojskowa w Syberji składa się w znacznej części z oficerów wypędzonych z armji rosyjskiej za kradzież, oszustwo, pijaństwo i wszelkiego rodzaju występki. Nierównie więcej ludzkości spotkasz u szeregowców, a w szczególności u kozaków zabajkalskich. Są to ludzie dobroduszni, obojętni na sprawy rządu, a częstokroć nawet otwarci jego wrogowie. Objawiali też oni niejednokrotnie swoję przychylność więźniom, za co ich potem usunięto, zastępując kompanjami piechoty linjowej. Dowódca tych nowych rot, kapitan Tiażołyj, dał nam się początkowo we znaki swem wyzywającem i brutalnem postępowaniem, ale — rzecz dziwna — w ciągu kilku tygodni zmienił się tak dalece, iż był poniekąd jawnym sprzymierzeńcem ciemiężonych.

Być może, iż i z tych zdemoralizowanych narzędzi ucisku możnaby było wykrzesać iskrę człowieczeństwa, gdyby nie podlegały największemu prześladowcy więźniów, jenerałowi Iliaszewiczowi. Po pamiętnem zdobyciu więzienia urządził on w całej gubernji obławę na zbiegłych więźniów z oznaczeniem nagrody po 200 rubli za głowę. Rezultatem tego szlachetnego konkursu było schwytanie wszystkich ośmiu zbiegów w różnych i dalekich stronach. Myszkina i Chruszczowa, którzy oparli się byli aż o miasto portowe Błagowieszczeńsk, schwytano już w chwili odbicia od

brzegu. Mającemu obecnie wszystkich więźniów w swem ręku, Iliaszewiczowi pozostał jeszcze jeden wspaniały czyn do spełnienia — ogolenie głów. — Dotychczas praktykowano tego rodzaju piętnowanie wyłącznie na kryminalistach, nigdy zaś na przestępcach politycznych. Nawet żaden z siepaczy policyjnych nie chciał wziąć na siebie spełnienia tego niemiłego a zarazem niebezpiecznego obowiązku. Dopiero generał-gubernator Anuczyn znalazł odpowiednie do tego narzędzie w osobie majora żandarmerji irkuckiej, Hołturyna. Owego to wyrzutka społeczeństwa wysłał generał-gubernator z 12tu podkomendnymi do Kary, w celu wykonania na więźniach stanu tej haniebnej egzekucji. *(Dok. nast.)*



Sprawozdania literackie.



Źródła prawa czynszowego na zachodnich kresach państwa w Zwierciadle Saskiem i jego polskich komentatorach. *(Wydał W. Spasowicz. Petersburg, 1885).* [1])

„Cel niniejszego wydania jest wyłącznie praktyczny, mówi autor we wstępie, i polega na tem, żeby ułatwić dla licznie procesujących się w sprawach czynszowych w zachodnim i południowo-zachodnim kraju, korzystanie z pierwotnych źródeł tego prawa, które określiły jego wzrost i rozwój".

Jest to broszura o 63 stronicach in 8, z których półtrzecia przypada na wstęp, a 29 na tłumaczenie polskiego tekstu w języku rosyjskim. Resztę dziełka wypełniają: przedruk siedmiu artykułów łacińskiego tłumaczenia Sachsenspiegel (Ejke fon Repkowa roku 1230) i skorowidzu dołączonego przez Mikołaja Juskera w Krakowie r. 1535 (oba z późniejszych wydań), oraz wyciągi z dzieł dwóch komentatorów polskich Zwierciadła Saskiego — urzędnika magistratu krakowskiego, Bartosza Groickiego: „Porządek sądów i spraw miejskich" i t. d., z r. 1562 i syndyka lwowskiego, Pawła Szczerbicza: Speculum Saxonum albo Prawo saskie z roku 1581. Z dzieła Groickiego p. Sp. przedrukował najwięcej, bo cały rozdział „Prawa między Gospodarzem y Komornikiem krótko spisane", dołączając tłumaczenie rosyjskie i wstęp (epistola) polski; z dzieła Szczerbicza zaś tylko siedm ustępów (Budowanie, Chłop, Czynsz i t. d.)

Spisaliśmy tak szczegółowo zawartość treści dziełka p. Sp., gdyż ma ono bardzo doniosły cel, aczkolwiek w przytoczonych powyżej wyrazach wstępu skromnie się wydaje. Wszakże jest to oczywista próba kodyfikacji prawa czyn-

1) Książka p. Spasowicza, nie puszczona w obieg księgarski, kursuje tylko prywatnie.

szowego, a zarazem podręcznik dla sędziów i jurystów rosyjskich, zupełnie obcych zwyczajom i prawom polskim i litewskim.

Cel taki wart chwili zastanowienia się nad próbą p. Spasowicza.

Najskromniejszym zadaniem objektywizmu, głównego warunku kodyfikacji jest właściwa ocena źródeł, która wymaga, by takowym nie przyznawano większego znaczenia nad to, jakie one według swej natury mieścić w sobie mogą, lub same sobie przyznają. „Źródła prawa czynszowego“ mogłyby więc powstać li tylko z takich dokumentów, któreby podawały zawartość swą, jako źródło tego prawa w całej rozmaitości lub głównych kategorjach stosunków czynszowych i za takowe uznawane były nie tylko przez autorów, ale i przez kompetentnych jurystów współczesnych. P. Sp. powołuje się tylko na mało w tym przypadku przekonywającą powagę prof. Kistiakowskiego, który przecie w swojem dziele (Prawa, według których sądzi się naród małoruski) pytania tego specjalnie nie postawił i nie przeanalizował. Dziełom Groickiego i Szczerbicza nie odmawiamy nader wielkiego wpływu w magistratach polskich; widzimy jednak granice tego wpływu i takowe wykazać zamierzamy.

W tym celu wypada postawić pytanie: kto z pomienionych przez p. Sp. komentatorów, spisane przez siebie zwyczaje prawne podał za całokształt prawa czynszowego w całej jego rozmaitości, lub nawet miał uroszczenie zastąpić swoją książką żywe zwyczaje prawne!

Najobszerniejszą pracą jest dzieło Bartosza Groickiego; zawierające największą ilość zwyczajów prawa czynszowego. Celem jednak autora było „przydatku artykułom prawa mieyskiego“, drukowanego wówczas (r. 1562) po polsku w Krakowie, to tylko, „co by sye zdało być naypotrzebnieyszego“, rozumie się, dla sądów prawa magdeburgskiego. Ze słów Groickiego: „Gdziem z swoiey głowy nic nie pisał, jedno com z Łacinskiego wziął, a z zwyczayu, jak mówią, in Praxi będąc (czyli urzędując), obaczył“, widzimy, iż przyznaje on dwa źródła swojej pracy: prawo saskie po łacinie spisane i polskie, właściwie krakowskie zwyczaje żywe wieku XVI.

Ostatnia okoliczność bardzo jest ważną, udowadnia bowiem, że prawo czynszowe polskie nie mieści się w żadnym kodeksie zagranicznym; polskie zwyczaje tego prawa wymagały uzupełnienia lub odmian w prawie saskiem, na zasadzie doświadczenia samegoż Groickiego, na zasadzie tego, co on z zwyczaju obaczył.

Właściwością zwyczajów jest nadzwyczajne różniczkowanie się. Zwłaszcza w Rzeczypospolitej polskiej zwyczaje ziemskie (nie ziemiańskie, ale z ziemią związane) różniły się do najwyższego stopnia. Nie wiemy jednak zgoła, czy Bartosz Groicki zdołał „obaczyć“ inne zwyczaje, niż zachowywane na ziemi krakowskiej, a właściwiej na lokacyjno-dziedzicznych gruntach miasta Krakowa. To samo trzeba powiedzieć o Szczerbiczu, ziemi lwowskiej i mieście Lwowie.

Z drugiej strony zacieśniać prawo czynszowe do form prawa niemieckiego jest to pozbawiać go charakteru prawa zwyczajowego, przytem polskiego (odnośnie ruskiego), powstałego z rodzimych pierwiastków, które przestaje być zwyczajowem, skoro nim kodeks może rządzić; jest to rozszerzać, wbrew oczywistym świadectwom historycznym, wpływ niemczyzny aż do samego jądra życia narodu, aż do stosunków społecznych, rodzinnych ludu wieśniaczego, bo cóż w wiekach średnich nie było związane z posiadaniem ziemi? Prawo czynszowe rozszerzonem było po wszystkich wsiach i chutorach Rusi, a Ukraina aż do trzeciego rozbioru nie znała innego: czyż by to miało właśnie oznaczać, że

Ukraina została przesiąkniętą do szpiku kości pierwiastkiem niemieckim, a Zadnieprze, gdzie prawo czynszowe wybujało właśnie po jego odpadnięciu, miało by się poddać niemczyźnie wówczas, kiedy i droga do niej została przez Rzeczpospolitą przeciętą! Jako żywo, nie! Zresztą i w rosyjskiej literaturze (Karyszew: Wieczno-nasledstwiennyja arendy) zostało wyjaśnionem, że prawo czynszowe i wieczysto-czynszowe powstało samodzielnie w całej Europie, że w wielu krajach zostało skodyfikowane i działa obecnie w Potugalji, północnej Francji, Holandji (w prowincji Gröningen), Meklenburgu, północnych Włoszech i że na próżno usiłują wyjaśnić go wpływami rzymskich instytucji i powszechnem naśladownictwem zwyczajów niemieckich, co prowadzi, powiedzmy nawiasem, do tak nieudałych prób, jak Gantowera (Wieczno-nasledstwiennyje arendnyje kontrakty). Prawo czynszowe najpełniej rozwijało się tam, dokąd nigdy nie sięgali ani rzymianie, ani niemcy.

Nauka nie jest w stanie wyjaśnić obecnie pochodzenia i sposobu powstania prawa czynszowego z pierwiastków rodzimych. I nie dziw: badacze jak Lavelaye zaczęli zbierać dopiero szczątki dawnych praw ziemskich u rozmaitych ludów i udowadniać, że ludzkość znała prawa ziemskie, które się wcale nie mieszczą w kwiryckiem prawie własności.

W obec takiego stanu rzeczy, objektywna nauka nakazuje sprawę o pochodzeniu, czyli źródłach prawa czynszowego zawiesić i dla tego nie wolno jurysprudencji używać jej w celach praktyki sądowej, jako rzeczy niepewnej.

Rzecz więc jasna, że zaszło nieporozumienie, gdy p. Spasowicz, przedrukowując ustępy z Groickiego i Szczerbicza, podał takowe za źródła prawa czynszowego. Kwestja nie rozwiązuje się tak prosto. To pierwszy nasz zarzut.

Zgadzamy się, iż praktyka nie może czekać na postępy nauki, że konieczność życiowa zmusza ją ograniczyć się do możliwie najlepszego rozwiązania sprawy, lecz widzimy sposób wyjścia bez pogwałcenia prawd, przez naukę zdobytych.

P. Spasowicz przeoczył wyraźne zastrzeżenie się tak Groickiego jak Szczerbicza, iż mówią tylko o czynszownikach wynajmujących domy i grunta miejskie „na pewien czas“, czyli o czynszownikach zwyczajnych, a nie wieczystych, dziedzicznych. „Tu nam nie o takich komornikach albo czynszownikach, którzy się na gruncie urodzili, mówi Groicki, rzecz idzie, ale o takich, którzy za pewną umową, pewnemi kondycyami do czyiego Imienia mieszkać y onego używać wstępują“. Nie o wieczystych więc czynszowników tu chodzi, ale tylko o najmujących na pewien czas dom lub rolę. Cel autora bieżący, ściśle miejski, z poza granic miast i ich terytorjów, prawu miejskiemu podległych, nie wychodzący, skierowany: „ku zapobieżeniu niemałym błędom, kthore się na miasteczkach w postępku prawa dzieją“. Nie można zatem uważać „Porządku“ Groickiego za kodeks innego prawa czynszowego, jak obowiązującego na czas pewien po miasteczkach podlegających prawu magdeburskiemu. To samo znajdujemy u Szczerbicza. „Czynszownicy dwoiacy są: jedni zawsze do dóbr czynszowych należą; drudzy nie zawsze. O pierwszych mówi artykuł 54 wyżej w tekście“. Odesławszy w ten sposób do tekstu prawa saskiego Juris prowincialis autor już nic o wieczystych czynszownikach nie mówi. Charakter ich jednak wyraźnie się uwidocznia z dalszego ciągu słów Szczerbicza. „Drudzy (czynszownicy) też są tym pierwszym mało nierówni w prawie swym, oprócz czterech przypadkach, w których z dóbr najętych mogą być oddaleni“. Wieczyści więc, czyli jak dawniej ich zwano dziedziczni czynszownicy różnią się od tych drugich „mało im nierównych w prawie swym“ tem właśnie, iż nie mogą być nigdy pozba-

wieni swej czynszowej nieruchomości, a prawo ich wypływa nie z najmu na pewien czas, lecz z innego źródła. Obecnie w kraju naszym i na Litwie pozostali li tylko wieczyści czynszownicy, gdyż od chwili ostatecznego usunięcia w roku 1840 praw polskich, nowe stosunki czynszowe powstać nie mogły, ci zaś czynszownicy, co pozostali, zasiedzieli na ziemiach czynszowych czterdziestoletnią dawność i stali się wieczystymi i dziedzicznymi. Źródło ich prawa płynie z przedawnienia legalnego, z prawa, na mocy którego osiedli na czynszach.

Nasuwa się samo przez się pytanie: dla czego Groicki i Szczerbicz nie mówią o dziedzicznych czynszownikach? Odpowiedź prosta. Lwów i Kraków posiadały całkowity samorząd miejski wedle prawa magdeburskiego z przyznaną im własnością do gruntów całego obszaru miejskiego, czego wiele innych miast i miasteczek, na prawie magdeburskiem osadzonych, nie miało wcale. Cały obszar gruntów miejskich uznany został nie za własność pojedyńczych mieszczan, lecz za własność wieczystą gminy Krakowa i Lwowa. Według tego prawa ani piędź jedna z gruntu miejskiego nie mogła już nigdy przejść w posiadanie ludzi innego stanu, a mieszczanom pozostawała tylko czasowa używalność. Legalne prawa do dziedziczno-czynszowego posiadania gruntów i domów po miastach magdeburgskich nabywano tylko na gruntach do szlachty i duchowieństwa należących (jurydykach) i na gruntach starościńskich. Dla tego też miasta magdeburgskie chętnie wprowadzają u siebie prawo emfiteutyczne w końcu XVIII wieku, jakie im dozwolone zostało, nie dłuższe wszakże nad lat 50, gdyż i to zabezpieczało co najmniej dwa pokolenia w posiadaniu. Po roku zaś 1840, z wprowadzeniem praw rosyjskich, gminna własność całości terytorjum miejskiego znika: co było w prywatnem posiadaniu, przechodzi na prawo pełnej własności: własnością gminną pozostają tylko grunta niezajęte.

Prawo więc dziedziczno-czynszowych gruntów nie znajdywało miejsca na obszarach miast magdeburgskich: ztąd zrozumiałą jest rzeczą dla czego Groicki nie uznawał potrzeby mówienia o tego rodzaju czynszownikach, powodując się swojem, wyłącznie praktycznem, bieżącem zadaniem: usunąć nadużycia, oświecić niewiadomość sędziów małomiasteczkowych, i dla czego po Groickim w lat dwadzieścia niespełna Szczerbicz pisze podobnyż komentarz dla niedalekiego Lwowa, posiadającego jednak swoje odmienne zwyczaje czynszowe.

Wręcz przeto odmiennie niż p. Spasowicz, zapatrujemy się na źródła prawa czynszowego. Szukać ich należy nie na terytorjach dawnych, lokacyjno-dziedzicznych miast prawa magdeburskiego, lecz właśnie poza ich obrębem. Rzadko kto z ziemian i duchowieństwa nie udzielił swym miastom i miasteczkom pewnej cząstki praw samorządu magdeburgskiego, ale żaden nie posunął się do zrzeczenia się swych praw zwierzchniczych do gruntów, do nadania lokacyjno-dziedzicznej własności, bo każdy chciał utrzymać się w roli pana i dziedzica. Sposobem więc słusznego wynagrodzenia powstaje w dziedzictwach prywatnych szeroki rozwój praw dziedziczno-czynszowych. Tylko kodyfikacja zwyczajów czynszowych w dziedzictwach prywatnych mogłaby wskazać źródło prawa czynszowego. Na tę drogę należy się udać, jeżli rzeczywiście została nareszcie uznana potrzeba takiej kodyfikacji.

Tyleśmy mieli do powiedzenia o teoretycznej stronie zadania. Lecz sprawa, której się dotknął p. Spasowicz, daleko ważniejszą ma doniosłość praktyczną. Rozdzieliła ona całe nasze społeczeństwo kresowe na dwa, wręcz przeciwne obozy. Po jednej stronie stanęło półmiljona czynszowników, po drugiej sześć tysięcy rodzin ziemiańskich. Zdarzył się wypadek w roku zeszłym, iż pewien obywa-

tel, Polak z powiatu skwirskiego, polubownie zakończył sprawę, wytoczoną już w kijowskim sądzie okręgowym (pierwsza instancja): czynszownicy wzięli na wykup grunta za połowę ceny targowej, na warunkach bardzo dogodnych, jakich się spodziewać nie można, gdy rząd przeprowadzeniem sprawy wykupu ziem czynszowych się zajmie; lecz przykład naśladowców nie znalazł.

Zamiarem jest rządu ziemie wiejskich czynszowników wykupić, w miastach zaś i miasteczkach tylko sprawę uregulować, gdyż wypadałoby zarazem nabyć inne liczne prawa dziedziców w prywatnych kilkuset miasteczkach, co zanadto przeciążyłoby finanse państwa.

Przed pięciu laty lepsi nasi ziemianie, czujni na potrzeby ogółu, dużo dołożyli starań, by polubownie zakończyć sprawę. Odbył się za ich inicjatywą liczny zjazd w Kijowie podczas kontraktów, ale jakże zawiódł oczekiwania! Roznamiętniony tłum ziemiański słyszeć nie chciał o żadnych ustępstwach: Wyrzucić i zaorać! oto hasło, które przemogło. Inicjatorowie zjazdu skonfundowani ledwie nie za wrogów ojczyzny (bo to wszystko w imię dobra pospolitego się robi)! okrzyczani, odstąpić sprawy musieli, a potem już i prób więcej nie podejmowano.

Smutną rolę grają w tej sprawie polscy adwokaci. Stanęli oni wyłącznie po stronie dziedziców, jak gdyby słuszność zawsze po jednej stronie i to silniejszej znajdować się miała. „Daliśmy sobie słowo, mówią oni, nie brać spraw ze strony czynszowników, żeby nie kłócić stanów“ i nadają taki ton temu co mówią, jak p. Spasowicz, który sprawę czynszowników ogłasza za socjalno-rewolucyjną. (p. Kraj. Nr. 48 z roku 1884).

A tymczasem, jakże obóz przeciwny korzysta z zaślepienia i braku ducha obywatelskiego polaków! Najlepszy adwokat Moskwy założył w Kijowie kantor z filjami po kraju i wyławia sprawy czynszowe; toż samo czynią miejscowi adwokaci.

Może czytelnik zapyta, kto to są ci czynszownicy? Oto ich imiona z aktów procesowych wypisane: Dębińscy, Brudzcy, Mylińscy, Miałkowscy, Janiszewscy, Miłkowscy, Wolscy, Gajewscy, Kościuszkowie, Korybuci, Grozowie, Możarowscy, Grocholscy, Waśkowicze, Paszczyńscy, Tomaszkowicze, Abramowicze i t. d. bez końca; całe herbarze trzeba by było wypisać, bo każdy ród ma licznych przedstawicieli między czynszownikami, a że katolicy w znacznej większości dowodnie świadczą o tem imiona. Zwyczajną jest rzeczą, że obrońca ze strony ziemianina, albo i sam właściciel tę samą nosi nazwę, co i czynszownik, z którym się procesuje.

Gdym zwrócił uwagę jednego z naszych obrońców, mającego nader obszerną praktykę, na jawne dowody pochodzenia czynszowników, otrzymałem odpowiedź: Jacyż to polacy!...

Tymczasem w izbie sądowej takie rozwodzą żale czynszownicy, zalewając się łzami: „Na cóż nas ten... oszukał, kiedy nadzielali ziemią włościan! On (właściciel ziemski i zarazem rządca u zamożnego ziemianina) nam mówił: Po co wam, szlachto mięszać się z chłopami; co oni dostaną, psu na buty starczy. Zostawajcie z nami, źle wam nie będzie, my swoi. I prawda! ciągnie dalej czynszownik: lat kilka wszystko było po dawnemu! aż tu naraz, jakby zmowa po kraju: to tam zostali bez gruntu, to tych sianożęci pozbawiono, czynsze podwyższono, a nareszcie i nas gruntów pozbawiono, z chat wypędzają“...

Czy to dowód małej solidarności, małego poczucia polskości, kiedy w takich czasach, jak lata 1863—1869, kiedy tylko rękę trzeba było wyciągnąć, słowo

jedno rzec, by grunta na własność dostać, żadnym namowom komisji włościańskich i pośredników (urzędników koronnych) nie dali ucha czynszownicy, i w całym kraju, od Dźwiny do Siniuchy, w sprawach o ziemię, najwyższem szczęściu czynszowników, pozostali wiernymi braciom starszym i ich obietnicom? O jakże piekielnie zawiedzeni zostali! Ileż rodzin na zawsze zostało bez dachu w ciągu całego dziesięciolecia bezlitośnych rugów, kiedy rząd się usuwał, jakby dla rozżarzenia nienawiści, aż dopiero w roku 1877 położył swoje veto, i teraz tylko z łaski rządu czynszownicy zabezpieczenia swojego losu spodziewać się mogą. Straszliwie smutno, jakby na pogrzebie!...

Praktyka sądowa, szukająca w świadectwach historycznych wskazówek, po czyjej stronie słuszność w tej walce strasznej, która rozszczepiła ostatecznie stan szlachecki na kresach, winnaby wysłuchać w tej sprawie sądu króla Zygmunta Starego i jego przybocznej rady, z bojarów, panów, kniaziów i biskupów złożonej. Posłuchajmy, jak król Zygmunt I. na swojej radzie senatorów, już w r. 1532 ochładzał apetyty do gruntów czynszowników u szlachty — panów.

„Wielokrotnie byliśmy nagabywani przez poddanych naszych, mówi król Zygmunt (Herburt sub tit. census): „ażebyśmy rozkazali, by czynszownicy usprawiedliwiali dokumentami prawo władania swojego wiecznego domami (t. j. osadami, jak widać niżej) i ażebyśmy im dali moc (rozumie się przymusową) wykupywać czynsze wieczne, opłacane z domów lub jakichbądźkolwiek innych miejsc, z gruntem związanych, w tych wypadkach, jeśliby czynszownicy takowych dokumentów nie okazali, a ciężary wieczyste, na ziemi leżące, sposobem wykupu, na pewną sumę pieniężną zamieniać dozwolili, lecz żeby pozoru do obalenia praw czynszowników (domyśla się, przez wyroki sądowe) nie podać, za radą i zgodą senatu postanowiliśmy i uchwalili, ażeby odtąd żaden z poddanych naszych, jakiegoby stanu lub urzędu nie był, nie ważył się w jakibądź sposób, wprost lub ubocznie, zamysłów czynić (silniej to brzmi po łacinie: attentare) słowem lub czynem na ich starożytne władanie; owszem, chcemy i rozkazujemy, ażeby takowe jedynie na starodawnem i przydłuższem posiadaniu oparte władanie, pozostało wiecznem i ażeby w urzędowe akta sprzedaży lub zamiany wkładano na te grunta tylko powinność opłaty czynszów wieczystych.

W silniejszych słowach nawet nietykalność majestatu nie mógłby prawodawca obwarować: głęboko i w całej rozciągłości pojmowano doniosłość dla społeczeństwa i państwa tej instytucji, starszej od szlacheckiego prawa dziedzicznego.

I tę to sprawę czynszową z gruntu historyczną, polską, której obrona przez królów i senaty magnackie stanowi największą ich chlubę w przeszłości, w rozwiązywaniu której rugi przymusowe czynszowników wieczystych były bezprawiem, — p. Spasowicz mianuje socjalnie-rewolucyjną!...

Stanisław Dybowski.

Karl Marks: Das Kapital. (Kritik der politischen Oekonomie). Tom II. Hamburg, 1885.

O naukowem znaczeniu ekonomicznych prac Marksa rozszerzać się nie potrzebujemy, gdyż pytanie to rozwiązali nawet najzaciętsi przeciwnicy ekonomisty niemieckiego na jego korzyść; tem też należy tłumaczyć powszechne

zajęcie, jakie wzbudziło w tym roku ukazanie się tomu drugiego „Kapitału". Nim jednak przejdziemy do rozejrzenia się w jego treści, nie od rzeczy będzie podać kilka uwag wstępnych.

Przedewszystkiem, powiedzieć winniśmy kilka słów o genezie poglądów ekonomicznych autora „Kapitału". W zwykłej stronniczej zapalczywości wielbiciele „Kapitału" okrzyknęli Marksa za człowieka, który od podwalin aż do szczytu wszystko sam stworzył. Tymczasem teorja ekonomiczna Marksa, jak w ogóle prawie wszelka inna, ma swą genezę w dalekiej przeszłości i jest jedynie zakończeniem długiego procesu ewolucyjnego wiedzy ekonomicznej, pierwiastków którego należy szukać w dziełach dawnych klasyków Anglji. Teorja ekonomiczna Rikarda — oto jeden z najważniejszych etapów owego ewolucyjnego rozwoju. Wpływ tego klasyka na autora „Kapitału" okazuje się zwłaszcza w pierwszych tegoż pracach: w rozprawie „o wolnym handlu" i w polemice przeciw Proudhonowi. W ten sposób do poglądów Rikarda, a nawet Smitha, należy sprowadzić teorję wartości i wiele innych punktów w „Kapitale"; różnica, jaką spotykamy, zasadza się na usystematyzowaniu i konsekwentnem przeprowadzeniu tej zasady, czego wśród klasyków niedostateczne napotykamy ślady. Bezpośrednio jako dalszy rozwój doktryny Rikardowskiej oraz jako praktyczne tejże zastosowanie, musimy zacytować ekonomiczną szkołę, której pierwszą publikacją był krótki i bezimienny pamflet: „the Source and Remedy of the National Diffuculties, 1821" i która stanęła później teoretycznie na czele ruchu czartystów. Tu należy Edmonds, Hodgskin, Ravenstone i wielu innych. Wychodząc z naczelnej zasady teorji Rikardowskiej, że praca stanowi jedyną tworzącą wartość potęgę, przeprowadzali oni to twierdzenie o wiele konsekwentniej od przedstawicieli klasycznej ekonomji. W dziełach ich spotykamy już naprzykład ogólną genezę wartości dodatkowej, a nawet zaczątki Marksowskiej terminologii ekonomicznej (np. „praca dodatkowa" i in.) Naturalną i dalszą fazę w ewolucji tego kierunku stanowi teorja Marksa. Zjawia się ona więc jako ostatnie dotychczasowe ogniwo długiego procesu rozwojowego. Wszystkie punkta wytyczne jego doktryny: teorję wartości, niemniej teorję wartości dodatkowej znachodzimy już w przeszłości; wreszcie jego metoda badań, streszczająca się w wyrzeczeniu, że ekonomja nie posiada ni odczynników chemicznych ni mikroskopu na swe usługi, lecz jedynie siłę abstrakcji, stanowi najczystszej wody spuściznę po klasykach. ¹)

Po omówieniu genezy „Kapitału", zawadzimy jeszcze o inny punkt w bezpośrednim już będący związku z drugim tomem tego dzieła: Mianowicie, w ostatnich latach poczęto przeciwstawiać Marksowi innego ekonomistę niemieckiego, Rodbertusa. Tenże, wychodząc również z zasad podstawowych doktryny Smitha i Rikarda, zbudował teorję ekonomiczną, posiadającą nader wiele stycznych punktów z Marksowską. Lecz pomiędzy obiema teorjami już w samem założeniu tkwi potężna różnica.

Zdaniem Marksa, praca społecznie - niezbędna już obecnie, wprawdzie w przeciętnym tylko przypadku, określa wartość towaru; zdaniem znów Rodbertusa jest to postulat, ciążący jedynie ku urzeczywistnieniu, lecz nie urzeczywistniający się jeszcze. Na zawadzie jego wcieleniu w życie stać ma druga, nader realna i powszechnie przyznana okoliczność, mianowicie tendencja obecnych stosunków ekonomicznych ku wyrównaniu we wszystkich gałęziach stopy pro-

1) Genezą Marksowskich poglądów miał się podobno bliżej zajmować angielski publicysta Hyndmann.

centowej. W jaki zaś sposób znosi ona prawo wartości, co do tego punktu odsyłamy czytelnika do dzieł Rodbertusa. Z tego stanowiska wychodząc, Rodbertus z przekąsem się odzywał za swego jeszcze życia o „Kapitale“, lecz dopiero po śmierci obu tych ekonomistów wybuchła zażarta walka między adeptami jednego i drugiego, podsycana przez obietnicę wydawcy dzieł Marksa, że tenże w rękopiśmie pozostawił rozwiązanie tej „powierzchownej“ tylko sprzeczności, że wykazał, iż wyrównanie stopy procentowej w różnych gałęziach przemysłu zgoła nie unicestwia znaczenia pracy, jako jedynego wyznacznika wartości wśród ustroju kapitalistycznej produkcji. Powszechie oczekiwano, że rozwiązanie to będzie miało miejsce w drugim tomie „Kapitału“. Rzeczywistość omyliła nadzieje. Wydawca obiecuje to uczynić w tomie trzecim, na który każe zresztą długo jeszcze czekać. W tym też tomie ma się znajdować teorja podziału wartości dodatkowej między różne kategorje i inne punkty, na jakie nie odpowiedział dotychczas autor „Kapitału“, a które ściśle są związane z odpowiedzią na ów zarzut Rodbertusa. Rozpatrując jednak tom drugi, musimy się zgodzić, że stanowi on poniekąd jedynie konieczny i nieunikniony wstęp do tej odpowiedzi, a więc i do tomu następującego, że składa się przedewszystkiem z przedwstępnych określeń, pogrąża się w dalszą analizę pojęć już wyprowadzonych w tomie pierwszym, lub wreszcie wyprowadza nowe pojęcia i określenia, jednem słowem, że nosi charakter przeważnie definicyjny. W porównaniu z pierwszym tomem doniosłość wywodów jego mniejszej jest wagi.

Po tych kilku przedwstępnych uwagach przejdziemy do zdania sprawy z treści tomu drugiego, czyniąc to oczywiście w najbardziej ogólnych zarysach. Tom ten traktuje o obiegu kapitału i rozpada się na trzy działy: w pierwszym autor omawia metamorfozy i obieg cyklowy kapitału, w drugim obrót tegoż, w trzecim zaś krążenie i reprodukcję zbiorowego kapitału społecznego.

Obieg cyklowy kapitału t. j. obieg polegający na tem, że kapitał, przeszedłszy pewne fazy, znowu poczyna je powtarzać, da się przedstawić kilkoma wzorami, stosownie do tego, jaką fazę w tym obiegu przyjmujemy za punkt wyjścia. Mianowicie, obieg ten rozpada się na trzy okresy: okres pierwszy — kapitalista występuje na rynku towarowym (a zarazem rynku siły roboczej) jako nabywca, kupując z jednej strony materjał surowy i narzędzia produkcji, z drugiej zaś żywą siłę roboczą. Pieniądze jego przybierają na się postać towaru. Okres drugi stanowi produkcyjne spożycie ze strony kapitalisty zakupionych towarów (martwych środków produkcyi i siły roboczej): występuje on tu jako kapitalistyczny wytwórca towaru, a jego kapitał przebywa sprawę produkcji, w rezultacie której zjawia się towar posiadający większą wartość, niż zakupione martwe środki produkcji i siła robocza. Jest to faza produkcji. Wreszcie w trzecim okresie kapitalista powraca na rynek, by sprzedać swój towar i natomiast rozpocząć tu nowy obieg cyklowy swego kapitału. Okres drugi t. j. sprawa produkcji był rozpatrywany szczegółowo w tomie pierwszym; w tomie drugim główną uwagę zwrócono na okresy pierwszy i trzeci. Ten sam kapitał funkcjonujący wciąż w tych trzech różnych okresach czy to pod postacią pieniędzy, czy też czynników produkcji, czy wreszcie wytworzonego towaru, Marks zowie *kapitałem przemysłowym*, odróżniając odnośne trzy tegoż postacie: *pieniężną*, *produkcyjną* i *towarową*; ten przeciąg czasu, przez jaki kapitał znajduje się w postaci produkcyjnej (t. j. jest uwięziony przez sprawę produkcji) stanowi jego *okres produkcyjny* w przeciwieństwie do *okresu krążenia* t. j. przeciągu czasu, jaki pochłaniają okresy pierwszy

i trzeci obiegu cyklowego, okres zaś krążenia i okres produkcyjny stanowi pospołu czas obrotowy kapitału. Są to pojęcia, grające nader znaczną rolę w wywodach drugiego, a może i trzeciego tomu.

Odpowiednio do swego punktu wyjścia, obieg cyklowy kapitału przedstawia się w postaci trzech wzorów, których tu wyprowadzać nie będziemy; powiemy tylko, że w pierwszym razie punkt wyjścia stanowi pieniężna, w drugim produkcyjna, w trzecim towarowa forma kapitału przemysłowego, a lubo są to wszystko wzory odnoszące się do obiegu tegoż samego kapitału, przecież każdy z nich inne uwydatnia strony obiegu; analiza cyklu kapitałowego z punktu widzenia każdego poszczególnego wzoru zajmuje prawie większą część pierwszego działu. Zresztą nie zawiera w sobie zbyt ważnych szczegółów, by nad nią się dłużej zatrzymywać, i przytem jest dość rozwlekle napisana, tak iż możnaby ją wyłożyć o wiele zwięźlej. W ciągu tego wykładu autor wprowadza też pojęcia produkcji na stałą stopę i produkcji na stopę rozszerzoną, i warunki, przy jakich możemy rozszerzać sferę produkcji, które nie są tak proste jakby się zdawało, jeżeli zważymy na to, że całokształt rozmiarów produkcji stanowi pewną technologicznie określoną wielkość, która wzrastać może li tylko w określonym ściśle stosunku. Jednym z ustępów działu pierwszego, dorzucających do doktryny marksowskiej treść nową, jest ustęp traktujący o kosztach krążenia. Jak wiemy, zdaniem Marksa, wartość towaru określa się społecznie niezbędnym czasem roboczym. Zachodzi teraz pytanie, w jakim to stosunku do towaru znajduje się czas roboczy, pochłaniany przez koszta krążenia. Wśród tych kosztów autor odróżnia: a) koszta przewozu i transportu, b) koszta przechowywania towarów i wreszcie c) właściwe koszta krążenia, jak to czas, zużyty na zakupno narzędzi i surowców, sprzedaż wytworów lub na prowadzenie ksiąg i rachunków lub wreszcie na zaspokojenie potrzeb rynku pieniężnego (dostarczenie odpowiedniej ilości złota, srebra i t. d.), a różne te kategorje w niejednakowy sposób wpływają na wartość wytworu. Przedewszystkiem koszta przewozu (np. surowej bawełny z Ameryki do Liverpolu) w odpowiedni sposób (wykazany w tomie pierwszym) zwiększają wartość samego wytworu, lubo zgoła nie przyczyniają się do podniesienia jego użyteczności. Inaczej już nieco przedstawia się rzecz odnośnie do drugiej kategoryi kosztów, mianowicie co do kosztów przechowywania, na które składają się po pierwsze: wydatki takie, jak koszta na śpichlerze, składy, naczynia do przechowywania itd., powtóre zaś, wydatki na żywą siłę roboczą, zatrudnioną przy niezbędnych tu operacjach. W tym razie trzeba odróżniać od siebie dwa wypadki, stosownie do tego, czy koszta te zawisły jedynie od właściwości obrotowego w ogóle, a kapitalistycznego w szczególności sposobu produkcji, czy też są przynależnością wszelkiego rodzaju społecznej produkcji, przyjmując wskutek kapitalizmu li tylko pewną specyficzną postać, tak np. czy pochodzą z zatrzymania się lub zakłócenia sprawy krążenia (np. w wypadku kryzysów) lub też — czy stanowią konieczny i nieodłączny krążenia warunek. Stosownie zatem do tych dwóch punktów, koszta przechowania to nie wpływają wcale, to znów wywierają wpływ na wartość towaru (lubo zgoła nie zwiększają jego wartości użytkowej, gdyż co najwyżej przyczyniają się do utrzymania na dawnym poziomie pierwotnej pożyteczności). Wydatki pierwszego rodzaju stanowią czystą stratę kapitalisty, są odciągiem z jego indywidualnych zysków; w drugim znów przypadku w wiadomy z tomu pierwszego sposób zwiększają wartość wymienną towaru.

Podobnież jak koszta przechowywania w pierwszym wypadku — zachowują się „właściwe“ koszta krążenia, jako to: wydatki na utrzymanie ajentów, komiwojażerów, na reklamę i koszta prowadzenia buchalterji. Lubo wszystkie one nader wysokiego dosięgać mogą rozmiaru, a spełnienie odpowiednich czynności zatrudnia mnóstwo ajentów, nic a nic zgoła nie zwiększają przecież wartości wytworu, będąc jedynie konieczną, lecz w każdym razie czystą stratą kapitalisty, odciągiem z jego osobistych dochodów. Co zaś się tyczy pieniędzy — tego dziecięcia obrotowej gospodarki społecznej — stanowią one pewną postać pracy społecznej, nieruchomą i funkcjonującą jako maszyna obiegowa i zwiększającą się w miarę wzrostu rozmiarów produkcji towarowej, pomnażając w ten sposób „faux frais“ ze strony społeczeństwa.

Przejdźmy teraz do działu, traktującego o obrocie kapitału. Tu przedewszystkiem spotykamy się z kilkoma nowemi pojęciami, zupełnie nieznanemi w dotychczasowej ekonomji i którym wypadnie poniekąd odegrać niezmierną rolę przy ostatecznych wywodach teorji Marksowskiej, a bez których niepodobna odeprzeć zarzutów Rodbertusa.*) Mówiąc to, mamy na myśli takie pojęcia, jak: kapitał uwięziony (fixes Kapital) i kapitał obiegowy (cirkulirendes kapital) i roczna rata wartości dodatkowej. By je zdefiniować, wypadnie nam przypomnieć czytelnikowi kilka definicji z tomu pierwszego. Spotkaliśmy się tam z pojęciem kapitału wyłożonego, tj.całej tej kwoty, jaka niezbędną jest do prowadzenia przedsiębiorstwa, (tj. do zakupna narzędzi i środków produkcji, materjału surowego, siły roboczej itd.) W kapitale zaś tym należy odróżniać kapitał stały (constantes Kapital) od zmiennego (variables Kapital). Na tamten składają się narzędzia i środki pracy, oraz materjały surowe, na ten zaś — koszta siły roboczej. Podział ów ogromne posiada znaczenie przy wyprowadzeniu teorji wartości dodatkowej, jako też określaniu stopy tejże wartości, czyli stopy wyzysku siły roboczej przez kapitał. Obecnie w tomie wtórym spotykamy się z nowym podziałem kapitału, wyłożonego ze względu na czas obrotu różnych jego części składowych. Tak np. ta część wyłożonego kapitału, która w maszynach została ulokowana, przetrwać może lat 3, i służyć aż przez sześć półrocznych cyklów kapitałowych, wówczas kiedy materjały surowe w produkcji musimy odnawiać w każdym cyklu co pół roku. Kiedy więc kapitał, wyłożony w narzędzia, obrócił się raz jeden, wówczas kapitał wyłożony w materjałach surowych aż sześciu dokonał obrotów. Rozpatrując bliżej tę różnicę, spostrzeżemy, że narzędzia swą wartość przenoszą na wytwór częściowo, wówczas kiedy wartość materjału surowego od jednego razu całkowicie wchodzi w nowo wytworzony towar. Stosownie do tego odróżniamy kapitał u w i ę z i o n y o d o b i e g o w e g o. Ten ostatni stanowią te części kapitału wyłożonego, które całkowicie od jednego razu całą swą wartość przenoszą na wytwór, a więc cały kapitał zmienny tomu pierwszego, oraz materjały surowe i takie materjały pomocnicze jak olej, smarowidła, opał i t. d. Kapitał zaś uwięziony, w przeciwieństwie do obiegowego, przenosi swą wartość na wytwór częściowo, i tu należą narzędzia, maszyny, budynki i t. d. A więc cała różnica polega na niejednakowym okresie obrotu dla różnych części składowych kapitału ulokowanego w tem samem przedsiębiorstwie, przytem jeden obrót kapitału uwięzionego obejmuje kilka obrotów obiegowego. Te dwa pojęcia, wyprowadzone w tomie drugim, są po raz pierwszy w nauce zainstalowane; dotychczasowa wiedza ekonomiczna — fizjokraci, Smith, Rikardo — gma-

1) Ztąd już widzimy bezzasadność zarzutów przeciw tomowi II., że traktując o różnych „obrotach“ ani słowa nie pisze o rencie...

twali je wciąż z kategorjami tomu pierwszego, sprowadzając chaos nie do opisania. Lecz obroty kapitału uwięzionego i obiegowego, obejmując różne okresy czasu, zniewalają do zaprowadzenia nowego pojęcia; któreby odpowiadało na pytanie: jaką kwotę wynosi przeciętny jednoroczny kapitał (tj. przeciętna kwota, obrócona w przedsiębiorstwie przez rok jeden), a następnie, jak długo trwa obrót przeciętny wyłożonego kapitału — pytania nader ważne i niezbędne przy obliczaniu stopy procentowej a więc i do odparcia zarzutów Rodbertusa. W związku z tą ostatnią kwestją znajduje się też podział czasu obrotowego na czas krążenia tj. okres, kiedy kapitał przemysłowy przechodzi przez fazę towarową i pieniężną, a okres produkcyjny, kiedy zakupiona siła robocza zamienia przy pomocy narzędzi materjał surowy na towar; wreszcie podział drugorzędny, mianowicie rozróżnianie w okresie produkcyjnym *okresu roboczego*. Tak np. okres produkcyjny w przedsiębiorstwie wytwarzającem pszenicę, obejmuje czas od rozpoczęcia pierwszych robót w polu aż do wywiezienia pszenicy na rynek, wówczas gdy okres roboczy stanowi nieznaczną cząstkę tamtego, gdyż przez dłuższy czas pszenica pozostawioną jest samej sobie. Czas produkcyjny w różnych przedsiębiorstwach, a nawet w tem samem, lecz w różnych okolicach bywa odmienny: dla budowy maszyny parowej potrzeba np. kilku tygodni, wówczas gdy dla budowy pancernika lat kilku. Ma to w życiu codziennem ogromne znaczenie. Zaiste, przypuśćmy, iż w dwóch różnych przedsiębiorstwach np. w fabryce wyrobów bawełnianych i w fabryce wyrobów metalowych, przy końcu roku obrachowano wydatki roczne na 30.000 guldenów, że w tej liczbie kwoty, przypadające na kapitał stały i zmienny, uwięziony i obiegowy, dla obu przedsiębiorstw są jednakie, że wreszcie — by uprościć zadanie — czas krążenia w obu razach równa się zeru, lecz że czas produkcyjny w pierwszym zakładzie równa się jednemu, w drugim zaś pięciu tygodniom. Wtedy w pierwszem przedsiębiorstwie możemy prowadzić interes, mając w ręku pięć razy mniejszy kapitał obiegowy niż w drugiem — rzecz w praktyce olbrzymiej wagi. Wreszcie spotykamy się jeszcze z jednem nowem pojęciem, mianowicie z pojęciem *rocznej stopy wartości dodatkowej*. W pierwszym tomie mieliśmy zwykłą stopę tejże wartości — był to stosunek wytworzonej przez kapitał zmienny wartości dodatkowej do tegoż kapitału; roczna zaś stopa wartości dodatkowej jest to stosunek wytworzonej przez rok cały wartości dodatkowej do wyłożonego kapitału. Jeżeli np. obrót kapitału zmiennego równa się 3 miesiącom, a stopa wartości dodatkowej wynosi 100%, wtedy roczna stopa będzie równała się $\frac{12 \text{ mies.}}{3 \text{ mies.}} \times 100\% = 400\%$. Jednem słowem drugi dział omawianego tomu nosi par excellence charakter definicyjny. Są to określenia, przygotowujące grunt pod zrozumienie tomu trzeciego, a zwłaszcza teorji podziału wartości dodatkowej na rentę ziemską, procenty i t. d., i ku zwaleniu zarzutów Rodbertusa, stawianych teorji wartości Marksa ze względu na istnienie tendencji wyrównywania wszędzie stopy procentowej. W dziale drugim Marks bada zanalizowany już w dziale pierwszym obieg cyklowy kapitału jako rzecz perjodycznie się odbywającą, tj. jako obrót; wykazuje, że różne części kapitału (uwięziona i obiegowa) uskuteczniają też swe cykle w odmienne okresy czasu i w różny sposób, a następnie poszukuje czynników, od których zależną jest długość okresów roboczych i krążenia; oraz dowodzi, że od długości obrotu i różnego stosunku jego części składowych zależą rozmiary samego procesu produkcji, jako też roczna stopa wartości dodatkowej. Wówczas, gdy w pierwszym dziale chodziło o te postacie, jakie przybiera i porzuca kolejno kapitał w swym

obiegu cyklowym, tedy w drugim rozpatruje Marks, jak wśród tego następstwa różnych f o r m kapitał określonej wielkości, znajduje się jednocześnie w różnych postaciach jak te różne postacie obok się poruszają i przybierają odrębne kształty. Wreszcie poszukuje autor praw, które określają tę kwotę kapitału, która musi spoczywać wciąż w ręku przedsiębiorcy dla prowadzenia interesów bez przerwy.

Przychodzimy teraz do działu trzeciego, traktującego o reprodukcji i krążeniu z b i o r o w e g o k a p i t a ł u s p o ł e c z n e g o. Jest to również zupełnie nowe w pracy Marksa pojęcie, aczkolwiek nie nowe w dziejach wiedzy ekonomicznej. Tak np. w tym przedmiocie znaleźć możemy kilka kartek u Rodbertusa, analiza jednak marksowska o całe niebo przerasta wywody tamtego ekonomisty swą głębokością i szerokością.

Przedewszystkiem zaczniemy od r e p r o d u k c j i p r o s t e j zbiorowego kapitału społecznego. Całoroczny zbiorowy wytwór społeczny zawierać musi po pierwsze zwrot pochłoniętego przez się kapitału, a następnie środki spożywcze tak dla kapitalistów, jakoteż dla klasy robotników; prosta reprodukcja zasadza się więc na reprodukcji kapitalistycznego charakteru produkcji w poprzednich jej rozmiarach. Zbiorowa produkcja społeczna rozpada się na dwa wielkie działy (podział ten spotykamy również u Rodbertusa), mianowicie a) dział, wytwarzający środki produkcji (narzędzia, surowy materjał itd.), jednem słowem środki, służące do wytwórczego spożycia, i b) dział wytwarzający środki spożywcze, tj. środki idące na indywidualną konsumcję kapitalistów i robotników. Odpowiednio do tego całoroczny wytwór społeczny rozpada się na środki produkcji i środki spożywcze. W każdym z tych dwóch działów ogół poszczególnych produkcyj pojedyńczych tworzy jedną zbiorową olbrzymią gałęź produkcji. a wyłożony w każdym tym dziale kapitał rozpada się na zmienny, obejmujący ogół poszczególnych płac roboczych, i stały, zawierający maszyny, narzędzia i t. d. (co stanowi część uwięzioną kapitału stałego) oraz materjał surowy i. t. d. (czyli część obiegowa kapitału stałego.)

Stosunek wymienny wśród tych dwóch działów w razie reprodukcji proste i przy założeniu, że zużycie maszyn z roku na rok jest to samo, przyjmuje kształty ściśle określone. Mianowicie, jeśli przypuścimy, że w dziale wytwarzania środków dalszej produkcji:

cały kapitał = 4000 + 1000 = 5000
stały zmienny ..dział I.
a towar-wytworzony = 4000 + 1000 + 1000 = 6000
st. zm. war. dod.

w dziale zaś produkcji środków spożywczych:
kapitał = 2000 + 500 = 2500
st. zm. ..dział II.
towar wytworzony = 2000 + 500 + 500 = 3000
st. zm. war. dod.

(a nadmienimy nawiasowo, że przy reprodukcji prostej stosunek różnych składowych części kapitału w obu produkcjach znajduje się w ścisłej zależności), wtedy stosunki wymienne ułożą się w sposób następujący: A) 500 (kap. zm.), które idą na płacę robotników działu II., oraz 500 (wart. dod.), idące na spożycie dla klasy kapitalistów, winny być w postaci środków spożywczych konsumowane, a więc krążyć będą w sferze II., nie wychylając się poza nią. B) pozostałe jeszcze

w postaci środków spożywczych 2000 kap. stałego, muszą być wymienione na środki dalszej produkcji, a tem samem wejść w stosunek wymienny ze sferą I., wówczas kiedy 1000 (kap. zm.), i 1000 (w. d.), stanowiące płacę roboczą i dochód kapitalistów sfery I., przybrać na się winny postać środków spożywczych: wymiana więc odbywać się będzie między temi 1000 (zm.) + 1000 (w. dod.) ze sfery I. a 2000 (kap. zm.) ze sferą II. C) 4000 (kap. st.) pozostaną w sferze I., lubo również będą i muszą być porwane wirem wymiany, zastępując zużyte tu środki produkcji. Marks szczegółowo rozpatruje te poszczególne stosunki wymienne, wprowadzając pośrednika wymiany: pieniądze. Dla braku jednak miejsca nie możemy tej kwestji dotykać. Tu tylko zanotujemy ostateczny wynik analizy: Reprodukcja prosta, odbywająca się przy tych samych warunkach pod względem wytwórczości pracy, jej rozmiarów i intensywności wówczas tylko nie będzie zakłóconą ze strony zaburzeń handlowych, jeśli przypuścimy, że stosunek dorocznie zużytej części kapitału uwięzionego do owej części tegoż samego kapitału, która nie przestaje dalej funkcjonować, z roku na rok pozostaje bez zmiany. Jeśli bowiem część ta z roku na rok wzrośnie, wtedy, ponieważ kapitał obiegowy pozostaje przy dawnych swych rozmiarach (albowiem badamy reprodukcję prostą), muszą odpowiednio wzrosnąć rozmiary gałęzi, wytwarzającej środki produkcji, gdyż w innym razie nie zostałby pokryty deficyt w środkach produkcji; w odwrotnym znów przypadku, tj. jeśli stosunek ten ulegnie zmniejszeniu, środków produkcji wytworzy się więcej niż potrzeba. Ponieważ zaś w obecnej niczem nie regulowanej produkcji stosunek dorocznie zużytej części kapitału uwięzionego do funkcjonującej jeszcze nadal części drugiej tegoż kapitału zmienia się z roku na rok, przeto nawet w najprostszym wypadku mamy obecnie do czynienia z zaburzeniami w sferze produkcji, które nie istniałyby, gdyby sfera ta, oparta dzisiaj na anarchji, była regulowaną i poddawaną kontroli. Jeśli się spotykamy z zakłóceniami wśród reprodukcji prostej, to cóż mówić o zakłóceniach, w razie jeśli mamy do czynienia z reprodukcją społeczną na zwiększoną skalę! Ostatniej poświęca autor zaledwie kilkanaście kartek, których jednak streszczać nie będziemy, gdyż z powodu znajdujących się tam rachunków, musielibyśmy zająć wiele miejsca, nie zbyt wiele dając nowej treści.

Na tem zakończymy sprawozdanie z drugiego tomu .Zauważyć musimy, że nawet w daleko obszerniejszem i szczegółowszem sprawozdaniu niepodobna byłoby poruszyć tego mnóstwa drobnych a interesujących uwag, w jakie obfituje tom niniejszy i które, lubo są umieszczone w tekscie, nie wiążą się z nim w jedną spójną całość, a przeto w sprawozdaniu muszą być pominięte. Na zakończenie zwrócimy jeszcze uwagę na krytykę wielu poglądów Smitha, Rikarda itd., również nie wiele przyczyniające się do wzbogacenia treści. Z nowszych ekonomistów nie spotykamy ani jednego. Niektórzy krytycy, Słonimski np. uczynili już z tego zarzut, lubo takie postępowanie Marksa wyjaśnić się daje stronniczem i z góry powziętem stanowiskiem nowszej ekonomji, w porównaniu z więcej bezstronną analizą dawniejszej, która w prostocie ducha analizowała rzeczywistość.

Kronika spółczesna.



Warszawa, styczeń 1886.

Pozbawione nietylko wszelkich praw do otwartego i szerokiego działania politycznego, ale nawet możności jakiegokolwiek działania w tej sferze, społeczeństwo nasze chcąc zachować pełnię życia narodowego i nie zwyrodnieć w potwornem kalectwie, musi w chwilach natężenia energji dążyć do zmiany warunków, krępujących prawidłowy, równomierny rozwój jego sił żywotnych — lub też w perjodach odpoczynku i skupienia sił przystosowywać się do tych warunków, wyzyskując każdą możliwość w celu obrony i zachowania życia. Niepotrzebuję chyba dodawać, że przystosowanie to rozumiem nie jako poddanie się i z a s t o s o w a n i e do wymagań okoliczności, nie jako kompromis, który zawsze prowadzi do abdykacji i samobójstwa, wreszcie nie jako ustępstwo chwilowe lub częściowe, któremu w czasie i przestrzeni granicy zakreślić nie podobna, które więc również samobójstwem się kończy. Przystosowanie w tem znaczeniu, w jakiem je użyłem — to nie uległość niewolnicza ani kastracja dobrowolna, ale właśnie zdwojona energja wszystkich czynników życia nie tylko w sile, lecz i w zakresie działania, wciskająca w nieliczne i ciasne formy treść różnorodną i obfitą i wyzyskująca ograniczoną ilość środków przez rozmaite i do różnych celów skierowane sposoby ich użycia. Jedyną pobudką jest tu instynkt zachowawczy, pobudka ta jednakże jest tak silną, że przekształca nieraz i nagina formy najmniej odpowiednie do wymagań utrzymania życia i zapewnienia mu możliwie pełnego rozwoju, nie mówiąc już o tem, że z najdrobniejszej sprzyjającej okoliczności szeroko korzysta, że każdy, trochę bodaj podatny materjał przerabia całkowicie, stosownie do swych potrzeb.

Jakkolwiek skrępowane i półgębkiem tylko odzywające się dziennikarstwo warszawskie nie może odźwierciadlać wszystkich objawów życia narodowego, jest ono dla nas jedynym organem politycznym, zastępującym tak rozgałęzioną gdzieindziej, tak szeroką i barwną działalność publiczną. W prasie polskiej najlepiej obserwować możemy zmianę kierunku starych i dopływy nowych prądów, przebiegających dziedzinę duchowego życia społeczeństwa. Spostrzeżenia osobiste z konieczności ograniczać się muszą ciasnem kołem stosunków prywatnych, wiadomości zbierane, że tak powiem, poufnie, dostarczają tylko materjału faktycznego, nieraz zresztą wątpliwej bardzo wiarogodności. Innych zaś środków badania istoty lub poznawania choćby zewnętrznych form stosunków społecznych — nie mamy wcale. Słowem w dziennikarstwie wyłącznie prawie koncentruje się polityczna działalność narodu, która tylko w tak ciasnych i niewłaściwych szrankach przejawiać się może. Rozumie się, że taka „polityka pisana“ musi być jednostronną i chwiejną, zależną od wielu wpływów i względów ubocznych, od zachcianek osobistych, doktrynerską wreszcie i drobiazgową. Polityka dziennikarska ma wszakże i dobre strony, jest ona bowiem zawsze mniej lub więcej udatną syntezą różnych prądów społecznych, szkoda tylko że te poglądy uogólniające, nie zahartowane w próbie rzeczywistości, nieoczyszczone w ogniu doświadczenia — zastygają w pewnej teoretycznej wyłączności i nie odpowiadają ciągle ruchliwym, ciągle zmieniającym się warunkom życia. Na powstanie lub

wyrobienie się nowych pojęć w społeczeństwie wpływają czynniki różnorodnej natury, literatura jest właściwie odbiciem tylko tych zmian wypadkowych lub stałych, kiedy jej się zdaje, że z jej to inicjatywy dokonywają się przeobrażenia, że ona to wytwarza duchowe życie narodu, chociaż w samej rzeczy jest tylko mniej lub więcej odpowiednią, ale zawsze niedostateczną jego formułą. Na zastrzeżenie to kładę szczególny nacisk, bo jakkolwiek dalsze wnioski moje wysnuwam w znacznej części ze spostrzeżeń, robionych w dziedzinie prasy, występuję właśnie przeciw fałszywej zasadzie łączenia obozów literackich z patjami społecznemi, przeciw temu samozwaństwu dziennikarskiemu, któremu się zdaje, że życie umysłowe i polityczne narodu płynie tylko wązkiem łożyskiem programów literackich. Życie to wyraża się prawie wyłącznie w prasie, ale nie znaczy to wcale, że zamyka się w niej całkowicie, wiele objawów nieujętych, wiele dążeń niewypowiedzianych, wiele pragnień nieodczutych pozostaje bez uwzględnienia, bez zewnętrznego wyrazu. Społeczeństwo normalne bez działalności politycznej obyć się nie może, nieposiadając zaś środków właściwych, wybrało najbardziej podatny, przystosowało go możliwie najlepiej, ale bądź co bądź pozostaje on w istocie swej nieodpowiednim, w formie niedostatecznym, pozostaje ułomnym i nienaturalnym wyrazem tej strony życia narodowego. O brakach tych i wadach pamiętać wciąż należy i wtedy tylko materjał dziennikarski służyć może za podstawę do wniosków ścisłych, jeżeli poddamy go badaniu krytycznemu, za pomocą którego zdołamy odróżnić wpływy, jakie życie wywiera na programy obozów, od czynników wypadkowych lub osobistych, nie zapominając jednak o wzajemnem oddziaływaniu poglądów na czyny i odwrotnie — i bezstronnie oceniając doniosłość tej wymiany.

Kto bacznie śledzi od lat kilku nastrój prasy warszawskiej, dostrzega, że w umysłowem życiu społeczeństwa odbywa się przełom stanowczy, którego treść dotychczas należycie wyjaśnioną nie była i nawet być nie mogła. Przesilenie, o którem pisały tyle gazety warszawskie obejmuje nie tylko sferę stosunków ekonomicznych, ale zauważyć się daje we wszystkich dziedzinach życia. Każdy czuje, że źle jest i że dalej iść tak nie może, ale poczucie to nie przeszło jeszcze w okres działania nie otwiera nowych dróg, tylko odwraca się od starych. Chłosta rzeczywistości stosowana wytrwale i w coraz większych dozach poruszyła nawet najbardziej bierne, najbardziej uległe żywioły. Prześladowanie polityczne, dokonywane według stałego systemu i bez żadnych powodów widocznych, przekonało, że w najbardziej ograniczonej sferze nie możemy już — nie rozwijać nawet — ale podtrzymywać tylko życia. Bankructwo wszelkich dotychczasowych programów: pracy organicznej, oporu biernego, legalnej walki, zgody na gruncie słowiańskim i t. d. jest faktem dokonanym, co więcej faktem stwierdzonym. Charakterystycznym bardzo objawem jest, że ta polityka pracy organicznej, która stanowić miała zwrot stanowczy w dziejach naszego narodu, abdykuje bez oporu prawie, że przeciwnicy jej, stawiąc nowe programy nie wdają się wcale w krytykę, uważając ją za zbyteczną i nikt krytyki tej nie żąda. Co więcej apostołowie tej zasady występują niejednokrotnie przeciw jej wynikom: upadkowi moralności publicznej, apatji, samolubstwu mieszczańskiemu, płytkości umysłowej i t. d. Jeżeli zaś bronią się, to właściwie zasada schodzi na plan drugi, obrona bowiem dotyczy tylko osoby lub, co najwięcej, obozu literackiego. „My nie mówiliśmy tego, my inaczej rozumieliśmy to i owo“ oto argumenty jedyne. Do obrony takiej każdy ma prawo, ale byłaby ona zbyteczną, gdyby zamiast zaczepek osobistych uderzono wprost na zasadę.

Jakiś gruntowny nawet krytyk literacki może uważać powstanie t. z. młodej prasy lub założenie *Przeglądu tygodniowego* jako punkt zwrotny w życiu duchowem narodu, może ze swego stanowiska sądzić, że Świętochowski, Spasowicz lub Wiślicki stworzyli nowe kierunki umysłowości naszej, że artykuły ich wytknęły nowe drogi polityczne i społeczne. Właściwie jednak oceniać ich tylko należy, czy byli właściwymi wyrazicielami tego zwrotu, jaki w przekonaniach inteligencji polskiej nastąpił przed dwudziestu laty, czy ta formuła, w jaką ujęli prądy ówczesne odpowiadała ich istocie. Nie ci — to inni, nie w ten — to w inny sposób robiliby mniej więcej to samo i jednakowe byłyby rezultaty. Program pracy organicznej był nie tylko manifestem literackim wybitnej grupy młodych pisarzy, był on bojowem hasłem, występującego na widownię historyczną, polskiego mieszczaństwa i tylko w tem znaczeniu posiada doniosłość polityczną. Ponieważ sprawie tej poświęcimy specjalny artykuł, nie będziemy tu rozbierać jej szczegółowo, zaznaczamy tylko nasz pogląd na znaczenie społeczne zasady pracy organicznej. Apostołom literackim nowego zwrotu chodziło o wysunięcie głównych kierunków dla wybijających się prądów i jedyna odpowiedzialność społeczna jaka ciężyć na nich może, polega na tem, że nie rozumieli dobrze właściwego celu swej roboty i że narzucić pragnęli całej inteligencji polskiej konsekwencje programu, który odpowiadał tylko politycznym widokom jednej warstwy narodu.

Dla tej inteligencji bardzo mało związanej z interesami klasowymi różnych warstw społecznych, dla której cele dobra ogólnego nie zamykają się w ciasnym widnokręgu osobistych lub kastowych pożądań, przełom dzisiejszy bardziej jest ważny, aniżeli owa zmiana kierunku myśli narodowej przed dwudziestu laty. Wtedy można było jeszcze łudzić się marzeniami „wewnętrznego rozwoju“, zamykać oczy przed roztwierającą się dopiero otchłanią antagonizmów społecznych i w prostej zamianie wyzysku uprzywilejowanego „swobodną eksploatacją“ widzieć postęp prawdziwy. Wtedy chodziło głównie o wytworzenie na zasadach naukowych ogólnego poglądu na świat i życie, dziś idzie o życie samo, stłumione, zdeptane, pozbawione niezbędnych warunków istnienia. Po śliskiej desce kompromisu zsunęliśmy się już nie w błoto, ale na krawędź przepaści i resztkami instynktu zachowawczego trzymamy się tylko — byle nie upaść ostatecznie. Przeżyły się, straciły wartość wszelkie dotychczasowe programy, wskazania i różne inne manifesty. Inteligencja dzisiejsza wessała w siebie z atmosfery czasu dużo nowych idej, niektóre przetrawiła nawet, doświadczenie doprowadziło ją do wielu samodzielnych wniosków, albo wykazało fałsz uznanych zasad, ale ta mieszanina dodatnich i ujemnych czynników nie przybrała określonych kształtów, nie wyraziła się w krótkiej, jasnej formule, z której wysnuć by można było program praktycznego działania. To też znamienną cechą naszej polityki dziennikarskiej jest dzisiaj szukanie programu. Jakaś synteza tych rozstrzelonych kierunków, sprzecznych pragnień, wzajemnie krzyżujących się interesów pożądaną jest bardzo, ale też bardzo trudną i na zasadzie dotychczasowych programów polityczno-społecznych do urzeczywistnienia nie możliwą. Nie ma ani osobistości dość wybitnej, ani obozu nawet, z którego wyjść by mógł projekt takiej formuły. Ponieważ jednak wszystkie dotychczasowe drogi prowadzą do samobójstwa, do śmierci haniebnej w upadku i błocie, ponieważ przeciw wynikom tym protestuje coraz silniej uczucie, pobudzone i podniesione wypadkami lat ostatnich — trzeba, bądź co bądź szukać nowych drogowskazów. Reakcja dzisiejsza, którą pysznią się tak zachowawcy różnych odcieni nie jest bynajmniej wodą na ich

młyn, to po prostu reakcja uczuć, których prawa i znaczenie w polityce zapoznano. W części zapewne jest to również powrót do starych dróg i starych bogów, rejterada, której dokonywają ci, co porwani nowym prądem i wraz z nim zapędzeni na manowce, nie zdolni są do torowania innych szlaków, ale zawiedzeni w swoich nadziejach, cofają się na dawne stanowiska. Kto dziś nie wygłasza u nas programów, kto nie prostuje dróg przed narodem? Jedni oczyszczają z chwastów stare ścieżki, drudzy skarżą się, że ich źle zrozumiano i przedstawiają poprawne wydanie dawnych programów, w którem zostało już nie wiele śladów pierwotnego oryginału. W ciemności jaka nas otacza, tu i owdzie błyskają świeczki „przewodników narodu“, którzy na ochotnika podejmują się wyprowadzić społeczeństwo z dzisiejszego niebezpiecznego stanowiska i znowu prowadzą je na zakrętne manowce.

Co to wszystko oznacza? Ni mniej ni więcej tylko potrzebę nowego programu czy też programów, chociaż bowiem silnem jest zaofiarowanie, żądanie jeszcze jest większem. Polityka dotychczasowa, jakkolwiek ochrzcimy tego bękarta historycznej przeszłości: polityka pracy organicznej, realnych interesów, dokonanych faktów, wewnętrznego rozwoju i t. p. w istotnych swoich zarysach wspólną była wszystkim naszym partjom społeczno-politycznym oprócz rewolucjonistów. Dzisiaj wszystkie partje zaznaczają jej bankructwo, ale żadna z nich nie przyznaje się do bankructwa zasady, i każda winę całą składa na owe cechy drugorzędne, które były znamieniem poszczególnych obozów. Zwolennik „zgody z losem“ nicuje zasadę biernego oporu, czciciel realnych interesów — pracę organiczną i na odwrót, postępowiec potępia abnegację zachowawców, reakcjonista pioronuje na liczmany liberalizmu, wszyscy zaś jakby nie rozumieli zgoła, że w polityce stoją na jednym gruncie, że różnią ich tylko — hasła i barwy — o mało nie powiedziałem sztandarów — szyldów. Słowem owa „mała polityka“ w rozmaitych swoich wcieleniach walczy sama z sobą i sama siebie zwalić i zniweczyć usiłuje.

Z nowym programem politycznym występuje *Chwila*, dziennik, o którym obiegają najróżnorodniejsze wieści. Nazwałem program ten nowym, bo za taki twórca jego, wydać go usiłuje, chociaż nową właściwie jest tylko argumentacja zasad, jakie *Chwila* wyznaje. Jest to w całem znaczeniu tego wyrazu polityka rozpaczy, polityka zwątpienia we własne siły, polityka tego instynktu zachowawczego, który pragnie utrzymać odlatujące życie, bodajby za cenę spodlenia. Wszelkie wersje o subsydjach udzielanych *Chwili* uważam stanowczo za fałszywe: owszem działa ona szczerze, świadczy o tem naiwność jej artykułów. Politykę pojednania z Rosją zainaugurowali dawno już postępowcy warszawscy, oni to budowali „złote mosty“, które rozrzucił jeden podmuch moskiewskiego wiatru. Dzisiaj partja liberalna wyrzekła się już chyba ostatecznie tych projektów, które w danej chwili miały za sobą przynajmniej prawdopodobieństwo urzeczywistnienia jakiego takiego „modus vivendi“. Pierwotni apostołowie pojednania posiadali chociaż spryt kupiecki, sprzedawali oni losy narodu kawałkami, targując się wytrwale o każde ustępstwo; redaktorowie *Chwili* są po prostu żebrakami, którzy wyciągają rękę i proszą „co łaska“ dla nieszczęśliwej ojczyzny. Jeżeli pojednanie na podstawie wspólnych instytucji liberalnych miało za sobą pozorne chociaż argumenty, to naiwne opieranie przez *Chwilę* polityki na sympatji rosyjskiego społeczeństwa pobudzić może tylko do bolesnego uśmiechu. Nieznajomość życia i literatury rosyjskiej może jedynie objaśnić to straszne nieporozumienie. Społeczeństwo rosyjskie we własnych sprawach lęka się podnieść głosu; w stosunku

zaś do nas różni się tylko w sposobach ruszczenia. W literaturze rosyjskiej obecnie nie ma ani jednego głosu, któryby sprawiedliwie ocenił stosunek dwu narodów, są tylko mniej lub więcej życzliwe dla polaków wyrażenia. W ciągu stu lat kilkudziesięcio miljonowy naród poza obrębem rewolucjonistów nie wydał ani jednego człowieka, któryby po ludzku ocenił straszne krzywdy naszego narodu.

Przeczytajcie „kwestję polską“ Pypina, w której pisarz ten zebrał zdania celniejszych przedstawicieli umysłowości rosyjskiej o sprawie naszej, z dołączeniem własnych uwag, i nie znajdziecie frazesu nawet, któryby dźwięczał uczuciem ludzkiem. W nielicznej tylko, powtarzamy, partji rewolucjonistów rosyjskich odzywały się czasem głosy szczerze nam przyjaźne i sprawiedliwością nacechowane, ale i w nich nawet brzmiały niejednokrotnie fałszywe nuty.

W obec tego bezdusznego samolubstwa, w obec krzywd świeżych i ran krwią broczących jeszcze — każda myśl o pojednaniu z Rosją teraźniejszą, Rosją nieuspołecznioną i do protestu przeciwko naszej zagładzie niezdolną — jest poniewieraniem uczucia narodowego, które w polityce ma i mieć zawsze powinno swoje niezaprzeczone znaczenie. Przedtem nim o braterstwie mówić będziemy, uczucie to domaga się zadośćuczynienia, rozum domaga się obrachunku, po którym dopiero mówić można o wyrzeczeniu się walki i o zgodnem sąsiedzkiem pożyciu.

Politycy „realnych interesów“ nie liczą się z uczuciem, chociaż jest ono przecie realną siłą i najpotężniejszym czynnikiem w stosunkach ludzkich. Można doniosłość czynnika tego osłabiać, można dowodzić, że nie powinien być on regulatorem stosunków wzajemnych narodów, ale nie rachować się z nim, kiedy istnieje i wpływ wywiera — nie wolno.

Gdybyśmy jednak mogli rozkazać milczeć uczuciom i słuchać tylko „trzeźwego rozsądku“, musielibyśmy i wówczas program „pojednania“ uznać za zupełnie chybiony i chorobliwie sentymentalny. W odpowiedzi na oferty „przywiślańskich“ polityków braknie dodatnich dla nas faktów zarówno w polityce rządu, jak w stosunku rosyjskiego społeczeństwa do naszego narodu. Mnożą się natomiast fakty, których ignorowanie — jest samowolnem zmniejszaniem siły odpornej i pomocą w dziele naszej własnej zagłady.

W sprawach szkolnych „obrusienje“ robi ciągłe postępy; dla nadzoru nad szkołami prywatnemi utworzono teraz właśnie specjalną inspekcję, każdy zakład naukowy przyjmować musi nauczycieli rosjan, wyznaczonych z ramienia władzy; wszystko to jednak wydaje się niedostatecznem i mówią już o zniesieniu prywatnych pensji żeńskich.

Stosunki religijne na Litwie przypominają czasy Murawiewa, a taktyka usuwania stojących na zawadzie celom rządu znowu zaczyna znajdować zastosowanie. Z powiatu święciańskiego wywieziono trzech księży, z borysowskiego — jednego. Wiadomość o tem przedostała się trafem do kilku pism tutejszych, o ilu jednak podobnych wypadkach nie wiemy wcale.

Prześladowanie unitów nie ustaje, owszem organ urzędowy „Dniewnik Warszawski“ przedstawia projekt masowego wysiedlania opornych w głąb Rosji i sprowadzania na ich miejsce kolonistów moskiewskich. Nawet etnograficzna Polska, której odrębność uznawali kiedyś publicyści urzędowi, wydaje się dziś już zbyteczną i niedawno właśnie w okolicach Częstochowy założono kilka osad, do których sprowadzono kolonistów ze środkowych gubernji Cesarstwa.

Wreszcie widoczną jest rzeczą, że działalność rządu ma na celu nie tylko przeciwdziałanie „polskim fantazjom“ ale jasno i otwarcie stawi sobie za cel zagładę narodowości polskiej i systemat ruszczenia zaczyna stosować wprost do ludu. W Warszawie wychodzić zaczyna pismo w języku rosyjskim, przeznaczone dla włościan polskich p. t. „Biesiada“, które ma być rozsyłane do wszystkich gmin wiejskich i propagowane wszelkimi środkami administracyjnymi. Poprzednio wydano w języku polskim broszurkę p. t. „Pogadanki Macieja“, w której na każdej prawie stronicy zręcznie bardzo autor dowodzi czytelnikom potrzeby uczenia się po rosyjsku, dobrodziejstw, jakiemi rząd obsypał włościan i jakie ich jeszcze w przyszłości czekają, jeżeli pozostaną wiernymi Cesarzowi.

Charakterystyczne są także głosy prasy rosyjskiej w sprawie wydalań z Prus. Większość gazet stara się sprowadzić tę sprawę do drobnych rozmiarów administracyjnego „oczyszczania państwa“, które rządowi swemu do naśladowania poleca; mniejszość zaś chociaż potępia gwałty pruskie, nie zdobyła się ani na jedno słowo żywszego współczucia dla pokrzywdzonych.

Kiedy na powodzian hiszpańskich lub na mieszkańców Szegedyna zjawiały się ofiary w gazetach rosyjskich, kiedy u nas krwawe wspomnienia 1863 r. nie rugowały z serca uczuć litości dla ofiar głodu w gubernji samarskiej — społeczeństwo rosyjskie nie zdobyło się względem wydalonych polaków ani na jedną oznakę żywszego spółczucia.

W obec tych faktów i tysiąca podobnych p. Przyborowski ośmiela się nam mówić o braterstwie szczepowem i o polityce pojednania albo raczej bezwarunkowego poddania się na łaskę i niełaskę. W jaki sposób nastąpić ma to pojednanie *Chwila* sama dobrze nie wie, wyrzeka się bowiem marzeń o autonomji, sądząc natomiast, że na dziś otrzymanie wspólnych instytucji z Rosją będzie wystarczającem. Ciekawa rzecz jakie to są te wspólne instytucje, których tak pożądać mamy: samorząd miejscowy, coraz bardziej ograniczany, czy sąd przysięgłych, który rząd znieść zamierza lub też doprowadzić do utraty wszelkiego znaczenia, czy wolność prasy, zmuszonej do milczenia wyliczeniem 226 przedmiotów, o których mówić nie wolno — czy też może zebrania szlacheckie, bo innych instytucji odrębnych w Rosji nie ma wcale. Straszna reakcja, jaka sroży się w tem państwie dąży stale do zniesienia wszelkich najdrobniejszych gwarancji bezpieczeństwa osobistego i swobody obywatelskiej, tak że w wielu razach nawet nasze wyjątkowe położenie wydaje się lepszem. Ale pomijam te względy praktyczne i zwracam raz jeszcze uwagę na to fałszywe twierdzenie, którego szkodliwości podkreślić nigdy nie zawadzi, że istnieje możliwość już nie pojednania, ale porozumienia bodaj — między inteligencją polską i rosyjską. Powtarzam, tylko zupełna nieznajomość literatury i życia rosyjskiego może złudzenie to podtrzymywać. Możliwe są, jeśli będziemy przedstawiali siłę, jakieś układy z rządem, spodziewać się należy w szczęśliwszej przyszłości porozumienia dwóch narodów, ale z tem co nazywają dziś społeczeństwem t.j. z inteligencją rosyjską nie ma i być nie może zgody, jeżeli mówić będziemy nie o pojedyńczych osobistościach lub drobnych odłamach radykalnych stronnictw, ale o całej masie tej inteligencji.

Należałoby raz jasno i gruntownie wyświetlić tę sprawę. Pognębionym politycznie i skarlałym moralnie, zaślepionym i upadłym na duchu wskazać potrzeba, że nie ma dla nich żadnych widoków w pojednaniu, które wyrzec się każe nie tylko wszelkiej nadziei, ale i wyzuć ze wszystkich praw narodowych i ludzkich. Zmora apatji, która przygniata nam piersi, pobudza jednostki żywsze

do rzucania się konwulsyjnym ruchem na wszystkie strony, w szamotaniu takiem łatwo wpaść w owo bagnisko rozpaczy, jakie na okół siebie wytwarza *Chwila*, zwłaszcza, że korzystając z względności cenzury wygrywa od czasu do czasu stare melodje polskie dla przywabienia zwolenników.

Dziwna rzecz, że dziennik p. Przyborowskiego powstaje przeciw zasadzie pracy organicznej, chociaż całkowicie przyjął główne jej punkty wiary: rozwój narodowy na gruncie legalnym i potępienie wszelkich działań rewolucyjnych. Tymczasem to są właśnie najbardziej istotne podstawy programu, po za tem bowiem zostaje zalecanie pracy wewnętrznej, wytrwałego skupiania sił narodowych i t. d. Mieszczańsko-liberalny charakter programu pracy organicznej *Chwila* podkreśla złośliwie, ale ponieważ pod względem społeczno-ekonomicznym stoi na tem samem stanowisku, właściwie więc niewiadomo czego chce i w czem się różni.

Istnienie *Chwili* świadczy o upadku poczucia moralnego i politycznego w naszem społeczeństwie, ale znowu nędzna jej wegetacja dowodzi, że zgnilizna nie objęła jeszcze szerszych warstw inteligencji polskiej. W gmatwaninie pojęć, o której staraliśmy się dać przybliżone pojęcie, przebija się wyraźnie jedno tylko przeświadczenie, że dotychczasowe hasła przeżyły się lub spłowiały, że dotychczasowe drogi nie prowadzą w przyszłość jasną, ale wszystkie kończą się na skraju bagna lub otchłani, po za któremi czeka naród upadek i śmierć. Trzeba więc szukać haseł i dróg nowych, właściwie nawet nie szukać, bo życie wysuwa je i odcienia coraz wyraźniej. Luźno, urywkami nowe te idee teoretyczne i zasady praktyczne krążą w społeczeństwie i wywierają już wpływ na jego dorobek umysłowy, nie wystąpiły jednak i jawnie wystąpić nie mogą w określonych formułach wszechstronnego programu. Należy jednak zaznaczyć, że z grona inteligencji starszej kilkakrotnie wyszły już głosy uznające, iż w społeczeństwie istnieją prądy, które nie znajdują właściwego wyrazu w piśmiennictwie, i że ten obóz nowy stojący odrębnie posiada wybitnych przedstawicieli, chociaż programu swego nie wygłosił i nie sformułował otwarcie. Przyznanie prowadzi niektórych nawet do uznania tych nowych kierunków umysłowości naszej, jawnie bowiem wygłoszone było zdanie, że należy prąd ten poznać, poczynić mu pewne ustępstwa i wyciągnąć z teraźniejszej odrębności do wspólnego działania, inaczej bowiem umysłowość narodu nie zasilana dopływem sił i pojęć nowych marnieje bezpłodnie. O ile świeże prądy nurtują w głębiach narodu, o ile i które z nich są wynikiem potrzeb życia — pomówimy później.



Kronika francuska.

(Partje polityczne we Francji).

przez

M. Wiszowatego.

Radykalizm francuski, jak wszelki radykalizm polityczny odznaczał się zawsze brakiem wyraźnego socjalnego programu. Dla odszukania go zwrócić się musimy do „partji robotniczej“ francuskiej, tembardziej że minimalna część tego programu służyła dotąd radykalistom wszelkich odcieni za materjał przy układaniu programów socjalnych. Postaramy się zapoznać z programem partji robotniczej w całej rozciągłości, partja ta bowiem organizując się lepiej wpływać będzie coraz silniej na radykalizm parlamentarny i wysyłać bezpośrednio swych przedstawicieli do Izby. Tak zwane „kandydatury robotnicze“, zostały już przyjęte w zasadzie przez radykalistów i w Izbie świeżo wybranej zasiada pięciu takich kadydatów, tworzących na skrajnej lewicy osobną „grupę robotników socjalistów“. Organem tej grupy parlamentarnej jest dziennik „Cri du Peuple“, założony przed kilku laty przez Vallès'a i dzielnie prowadzony dziś przez kobietę, żonę jednego z profesorów szkoły medycznej, podpisującą się pseudonimem Seweryna.

Koleje jakie przechodziła francuska „partja robotnicza“ są z wielu względów ciekawe. Zorganizowała się ona na kongresie odbytym w Marsylii 20—31 października 1879 r. przyjąwszy za podstawę nowoczesny program socjalistyczny, zbliżony do programu socjalnych demokratów niemieckich. Stronnictwo zaciągające się pod sztandar „socjalistyczny“ nie było rzeczą nową we Francji. Socjalistami nazywali i nazywają się we Francji zwolennicy Saint-Simona, Fouriera, Ludwika Blanca, Proudhona i w ogóle demokraci zajmujący się polepszeniem bytu ludu, czy też klasy robotniczej. Socjaliści ci propagowali zakładanie stowarzyszeń robotniczych, kas oszczędności, pomocy wzajemnej, emerytalnych, stali jednak w swych zasadach ogólnych na gruncie indywidualizmu, co najwyżej mutualizmu, odrzucając własność wspólną, jako podstawę organizacji socjalnej. Dopiero kongres marsylski postawił wyraźnie wspólną własność środków i narzędzi pracy w swym programie. Partja zyskała od owego czasu nazwę „kollektywistów“ (nazwa, której nie należy mięszać z kollektywizmem belgijskiego socjalnego ekonomisty Collinsa). Program marsylski został potwierdzony i uzupełniony następnie przez późniejsze kongresy robotnicze i jest dziś programem Federacji socjalistycznej Centrum, która tworzy najbardziej wysuniętą naprzód frakcję partji robotniczej.

Nim jednak podamy sam program, przyjrzymy się nieco jego historji [1]). Zasadę własności wspólnej (kollektywizm) w formie czystego komunizmu spotykamy już w „Conspiration des Egaux“ Babeufa z r. 1797, o której pisał następnie jeden z historyków, Avenel, że nieudanie się jej przypisać należy li wypadkowi, „miała bowiem wszystkie szanse za sobą“. [2])

Charakter walki klasowej ma rewolucja tkaczy lyońskich, która wybuchła w r. 1831 na Croix-Rousse. Rewolucjoniści byli czas jakiś panami miasta, nie umieli jednak zrobić żadnego użytku z swej władzy. W roku 1848 podję-

1) Patrz „Le Programe du Parti ouvrier, son histoire, ses considerants, ses articles, opracowany przez J. Guesde'a i Pawła Lafargue'a w więzieniu św. Pelagii, w październiku 1883 r.

2) „Die Entstehung der Arbeiterpartei Frankreichs“ w piśmie „Neue Zeit“, Stuttgart, April 1884.

robotnicy paryscy walkę w imię prawa do pracy, zakończoną krwawymi dniami czerwcowymi. Komuna paryska, zakończona krwawym tygodniem majowym wydała także niektóre uchwały zmierzające do kollektywizmu, mimo to jednak francuski ruch radykalno-socjalistyczny aż do roku 1879 pozostał na gruncie indywidualistycznym. W roku 1849 za inicjatywą Pauliny Rolland powstaje „Union des associations fraternelles", która jednak stawi sobie za cel tylko „zapewnienie kredytu i caisse de solidarité pomocy wzajemnej oraz organizację wymiany między stowarzyszeniami". Internacjonał rekrutował sobie we Francji zwolenników i między wyznawcami prudonowskiego mutualizmu i propagującymi zakładanie stowarzyszeń robotniczych. Po upadku komuny ruch socjalistyczny osłabł jeszcze bardziej. Organizujące się podówczas robotnicze izby syndykalne dążyły do zjednoczenia klas (l'union des classes). W odezwie z r. 1872, podpisanej przec Chabert'a, Mayera i innych, czytamy słowa: „Pragniemy ażeby wszyscy francuzi złączyli się w jednej myśli odrodzenia". Jedenaście izb, które w r. 1871 utworzyły „koło zjednoczenia syndykalnego robotników" (Cercle de l'union syndicale ouvrière), na wzór Związku Izb syndykalnych przedsiębiorców, dążyły do „porozumienia i uregulowania stosunków wzajemnych między robotnikami i przedsiębiorcami". W tworzeniu się związków zawodowych Izby syndykalne widzą „ruch, który w bliskiej przyszłości przy pomocy stowarzyszeń produkcyjnych zapewni robotnikom dobrobyt i niezawisłość". Wzmiankowana Unia kładła sobie za cel zamknięcie „ery zmów". Podobnemi ideami przejęta była delegacja robotników francuskich wysłana na wystawę wiedeńską 1873 r. W sprawozdaniu z tej wycieczki stu delegatów 42 paryskich i wielu prowincjonalnych związków robotniczych czytamy, że organizacja związków zawodowych jest ostatniem słowem emancypacji klasy robotniczej. Robotnicy wzywani są, ażeby z swych oszczędności popierali wykształcenie zawodowe i ogólne, zakładali stowarzyszenia spożywcze i produkcyjne, przez zaprowadzenie zaś kredytu, opartego na wzajemności, doszli do zupełnego zniesienia stopy procentowej". Na czele redakcji tego referatu stał Chabert, późniejszy radca miejski Paryża, jeden ze znanych przywódców ruchu robotniczego. Zmowy robotnicze" nazywano tu „prymitywnym środkiem" działania potępionym przez doświadczenie. Równie umiarkowane wyobrażenia panowały i na pierwszym narodowym kongresie robotniczym, który odbył się w Paryżu w r. 1876. Na zjeździe tym, reprezentującym przeszło 100 związków robotniczych z 50 miast francuskich żądano jedynie zakładania stowarzyszeń produkcyjnych, opartych na oszczędności i pomocy wzajemnej. Kongres widział w tem jedyny środek rozwiązania kwestji socjalnej. Rezolucje te nie wywołały opozycji. Na zjeździe tym postawiono i przyjęto projekt „kandydatur robotniczych". Kandydatury te nie miały być manifestacją odrębności klasowej, lecz jedynie następstwem tego faktu, że adwokaci-politycy źle byli poinformowani o potrzebach klasy robotniczej. Radykalna burżuazja francuska uczuwała w pewnych chwilach jakby wyrzut sumienia, że w kraju głosowania powszechnego robotnicy nie mają w Izbach żadnego rzeczywistego reprezentanta i wtedy to popierała jakąś „kandydaturę robotniczą". W ten sposób weszli do izb robotnicy, jak senator dzisiejszy Tolain, jak wybrany obecnie w Paryżu b. robotnik górniczy, następnie zaś sekretarz izby syndykalnej w Anzin, Basly, jak Camelinat i paru innych. Drugi kongres robotniczy, który odbył się w Lyonie 1878 r. w rezolucjach swych nie różnił się od paryskiego. Zjazd widział takie rozwiązanie kwestji robotniczej w zakładaniu stowarzyszeń produkcyjnych i kas pomocy

wzajemnej „bez żadnego mięszania się w to państwa“. Przyjęto również zasadę bezpośredniego przedstawicielstwa robotników w izbach, zastrzeżono jednak, że przy powtórnem głosowaniu kandydatury robotnicze winne być cofnięte, gdyby przez to nie miał przejść poseł republikański.

O tym umiarkowanym kierunku w początkach francuskiego ruchu robotniczego wspominamy dlatego, że mimo późniejsze radykalniejsze zaakcentowanie tego ruchu, prąd ten nie zaginął, lecz przetrwał do dziś dnia w robotniczej partji possibilistów, o której pary słów jeszcze powiemy.

Kongres lyoński tem atoli różnił się od paryskiego, że wystąpiła tu już opozycja z wyraźnie akcentowanym programem kollektywistycznym, a raczej socjalno-rewolucyjnym. Opozycja ta na kongresie marsylskim 1879 r. wystąpiła już jako większość, lubo oczywiście nie osiągnęła jednomyślności. W jaki sposób ta opozycja stała się większością opowiemy pokrótce. We wrześniu 1877 r. po upadku pism Les droits de l'homme i Radical (uległy one pod ciężarem kar pieniężnych, prowadząc zaciętą walkę z oportunizmem) paru młodych współpracowników tych pism powzięło myśl wydawania tygodnika „Równość“ (Egalité), któryby się zajął propagandą spółczesnych idej socjalistycznych. Ponieważ niepodobna było wydawać pisma w Paryżu ze względu na potrzebę złożenia kaucji 12.000 fr., którą młodzi redaktorowie nie rozporządzali, postanowiono więc wydawać je w Maux (Seine et Marne) sześć mil od Paryża. Pierwszy numer „Egalité“ wyszedł w dniu 21 października t. r. i zawierał całkowity program kollektywistyczny, przeprowadzony na kongresie w Marsylii. Młodą grupę „Równości“ składali wówczas: Juliusz Guesde, Girard, Deville, Massard, Labousquière... imiona znane następnie w ruchu robotniczym i literaturze socjalistycznej. B. Malon przebywający wówczas w Lugano, przesyłał również artykuły do pisma. „Równość“ prowadzoną była z młodym zapałem i pierwszy raz we Francji wyjaśniała językiem naukowym, jasnym i dostępnym zasady spółczesnego marxowskiego socjalizmu. Propaganda ta szybko jednała sobie zwolenników. Grupa robotników i „intelligentów“ przejęta programem „Egalité“ tworzyła już ruchliwą mniejszość na kongresie lyońskim. Dalsze wypadki przyczyniły się jeszcze bardziej do rozgłosu nowego pisma i jego propagandy. Na zjeździe w Lyonie postanowiono odbyć następny kongres w Paryżu. Przygotowaniami do tego kongresu zajęła się naprzód większość umiarkowana. Pragnąc ubiedz socjalno-rewolucyjną mniejszość, partja ta postarała się wcześnie ułożyć program w duchu dwu kongresów poprzednich i rozesłać zaproszenia. Wątpić należy, czyby na zjeździe tym partja „Egalité“ zdobyła sobie większość. W ostatniej jednak chwili prefekt policji zakazał zjazd, co spowodowało bezzwłoczne odstąpienie umiarkowanych od zamiaru obradowania. Mniejszość atoli rewolucyjna, postanowiła odbyć zebranie pomimo policyjnego zakazu. Miało to ten skutek, że miejsce zgromadzenia zostało otoczone przez policję, trzech zaś członków redakcji „Równości“ zostało aresztowanych (Guesde, Massard, i Chebry) i zamkniętych w Mazas. Wkrótce zaś wytoczono proces, do którego pociągnięto 39 oskarżonych. Proces ten zwrócił uwagę klasy robotniczej na kollektywistów. Mowa, którą Guesde wypowiedział w swej obronie p. t. „kollektywizm przed X. Izbą karną“, została wydrukowaną i rozrzuconą w tysiącach egzemplarzy. Posypały się składki dla pokrycia 4.000 fr. grzywien, na które oskarżonych zasądzono. W maju 1879 r. redaktorowie „Egalité“ wydali z więzienia św. Pelagii odezwę „do proletarjuszów, włościan, i drobnego mieszczaństwa“, w której wzywali ich do przyłączenia się do partji socjalistycznej. Ode-

zwa ta znalazła odgłos w całej Francji i utorowała drogę kongresowi marsylskiemu, który się odbył w tymże roku.

Program uchwalony w Marsylii i potwierdzony następnie na kongresach regionalnym w Paryżu (1880 r.), „narodowym“ w Hawrze (1880 r.), a następnie na zjazdach w Roubaix (1881 r.), Rheims (1881 r.), Roanne (1882 r.) i t. d. zawiera na czele motywa, w których powiedziano, że wyzwolenie klasy produkcyjnej może się odbyć tylko przez oddanie w jej posiadanie środków i narzędzi pracy. Posiadanie to, powiada program, możliwe jest w dwóch tylko formach:

1) indywidualnej, która nigdy nie była zasadą ogólną i którą wyklucza coraz bardziej rozwój przemysłowy;

2) w formie zbiorowej, której elementy materjalne i umysłowe wytwarza sam rozwój kapitalistycznego społeczeństwa.

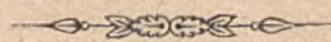
To przywłaszczenie zbiorowe może być tylko osiągnięte, ciągnie dalej program, w drodze akcji rewolucyjnej klasy produkcyjnej, czyli proletarjatu, uorganizowanego w partję polityczną odrębną. Za środek do osiągnięcia tego celu uważa program głosowanie powszechne mogące być użyte za narzędzie wyzwolenia. Dla akcji wyborczej służyć ma program żądań natychmiastowych, uważany „jako środek organizacji i walki“. Program ten dzieli się na dwie części. W politycznej czytamy: zniesienie praw przeciwko prasie, zgromadzeniom i stowarzyszeniom, a przedewszystkiem przeciwko Międzynarodowemu zgromadzeniu robotników; zniesienie książeczek robotniczych, budżetu wyznań i powrót do narodu majątków kongregacji zakonnych; zniesienie długu publicznego, armji stałej; zapewnienie gminie zupełnego samorządu. W części ekonomicznej program domaga się: odpoczynku po sześciu dniach pracy, zredukowania dnia pracy do ośmiu godzin dla dorosłych, zakazu pracy dla dzieci do lat 14, minimalnej pracy zarobkowej, wykształcenia zawodowego, domu inwalidów pracy i t. d. W ogóle program ten, w swej części minimalnej (po wyłączeniu celu ostatecznego — zdobycie środków i narzędzi pracy w drodze rewolucyjnej) nie różni się od przytoczonego już powyżej radykalno-socjalnego programu, a nawet program ów jest pełniejszy. Program kollektywistyczny różni się w jednym tylko jeszcze ważnym punkcie motywów, gdzie powiedziano, że wyzwolenie może się odbyć tylko przez robotników, uorganizowanych w partję polityczną odrębną. Zastrzeżenia tego niema w programie radykalno-socjalnym.

Na kongresie robotniczym w Marsylji żywiono nadzieje, że odrębna partja robotnicza z programem kollektywistycznym szybko się zorganizuje i urośnie w siłę, która zaważy potężnie na szali politycznego życia we Francji. Kraj cały podzielono na pięć sfederowanych okręgów. Corocznie miały się odbywać zjazdy okręgowe i jeden ogólny. Dalszy atoli rozwój partji nadziei tych nie usprawiedliwił. W samym już początku tworzenia się partji propaganda „Egalité“ spotkała się z zarzutami ze strony umiarkowanych, zwolenników stowarzyszeń i związków zawodowych oraz anarchistów frakcji jurajskiej. Opozycja ta w łonie samej partji przeszkodziła szybkiemu rozwojowi frakcji kollektywistyczno-robotniczej. Na kongresie w Saint-Etienne (1882 r.) przyszło do rozdwojenia w łonie partji robotniczej. Umiarkowani zawiązali się w odrębną „l'Union fédérative du Centre“, kollektywiści utworzyli związek pod nazwą „Fédération socialiste du Centre“. Obie frakcje ograniczają swą działalność przeważnie do Paryża. Organem pierwszej (possybilistów) jest dziś tygodnik „Prolétariat“, redagowany przez ex-anarchistę Pawła Brousse'a; druga ma swym

organem pismo „Le socialiste“, główni przytem jej przedstawiciele wchodzą do redakcji dziennika „Cri du Peuple“, nie wywieszającego wyraźnej barwy partyjnej.

Dla uzupełnienia tego obrazu dodajemy jeszcze, że frakcja kollektywistyczno-socjalistyczna zbliża się swem rewolucyjnem zabarwieniem do frakcji blankistów, których najwybitniejszymi dziś przedstawicielami są: członek rady paryskiej Vaillant i generał Eudes, jeden z przywódców Ligi dla zniesienia armii stałej. Blankiści jak wiadomo są z natury spiskowcami, dążą do pochwycenia władzy w swe ręce i zadekretowania następnie reform radykalnych. Za pośrednictwem tej znowu frakcji kollektywiści wchodzą w styczność z nieprzejednanymi politycznymi radykałami z obozu Rocheforta. Filjacje possybilistów są innego rodzaju. Zbliżają się oni do autonomicznej frakcji radykalnej, na czele której stoi Zygmunt Lacroix (Krzyżanowski). Frakcja ta dąży przedewszystkiem do rozszerzenia autonomii gminnej, a w pierwszym rzędzie do oswobodzenia gminy paryskiej z pod wyjątkowej opieki władz centralnych i spodziewa się przeprowadzić reformy socjalne w drodze pokojowej i legalnej. Possybiliści, mniej dbający o radykalne reformy polityczne, zbliżają się także do tej grupy oportunistów, która popierać się stara ruch na polu stowarzyszeń robotniczych etc.

Mimo podziału partji radykalno-socjalnej we Francji na liczne frakcje i grupy, często neutralizujące się w działaniu i wiodące z sobą zaciętą walkę podjazdową zaprzeczyć się nieda, że Trzecia Republika zrobiła w latach ostatnich znaczne postępy w kierunku wyjaśnienia sobie radykalno-socjalnego programu. Daleko już jesteśmy od nieśmiałych rewindykacji pierwszych kongresów robotniczych, kiedy całe zbawienie widziano w samopomocy i stowarzyszeniach robotniczych, od interwencji zaś państwowej w stosunki socjalno-ekonomiczne odżegnywano się jak od herezji. Z drugiej strony radykalizm polityczny czuje coraz bardziej potrzebę oparcia się na masach ludowych i okazuje skłonność do przyjęcia programów robotniczych. Radykalizm ten zaszedłby już w tym kierunku dalej niewątpliwie, gdyby nie walka z monarchistami i klerykałami, przeszkadzająca naturalnemu podziałowi partji na konserwatystów i rewolucjonistów i gdyby nie ciągła jeszcze walka o elementarne swobody polityczne. Same wreszcie partje robotnicze, wskutek swego rozdwojenia i swarów frakcyjnych nie zdobyły sobie tej przewagi, która zmusza przeciwników do ustępstw. Kollektywiści przytem zbyt pochopnie wojują rewolucją, lubo ta nie stoi w żadnym ścisłym związku z ich programem parlamentarnym, possybiliści zaś nie mogą się wygrzebać z ciasnych wyobrażeń o sprawach robotniczych. W ogóle przytem brak szerszego jakiegoś i świeżego prądu, któryby stopił jeżące się sprzeczności i niedomówienia w jedną silną i jednolitą całość... „Ach te programy, woła jeden z radykałów gdzie je znajdziemy wśród sprzeczności epoki obecnej, w zamęcie krzyżujących się wrogich interesów, pośród anarchji intellektualnej, która czasy nasze charakteryzuje“! A umysłowa ta anarchja sięga głęboko. Najwybitniejsze umysły we Francji czują się dotknięte gryzącym jadem pessymizmu, który nawiewa im reakcyjne wprost wyobrażenia... Nie wątpimy jednak, że nadejdzie czas, kiedy potężne nowe tchnienie poruszy znowu wszystkie żywe i dojrzewające pierwiastki, tkwiące w społeczeństwie francuskiem i powoła je do zwycięzkich zapasów.



Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Stanisław Maniecki.**

Książki nadesłane do redakcji „Przeglądu Społecznego“.

Rozprawa nad wnioskiem posła Romańczuka w sprawie zmiany ust. kr. o języku wykładowym w szkołach ludowych i średnich z przedmową Dr. Witołda Lewickiego.

Obrzędy i pieśni weselne ludu ruskiego we wsi Lolinie, powiatu stryjskiego. Zebrała Olga Roszkiewicz, opracował Iwan Franko. (Odbitka z t. X. Zbioru wiad. komis. autropologicznej Akad. Umiej. Kraków, 1886 str. 54.

Rawita Fr. Dwie drogi, opowiadanie na tle pamiętnika osnute. Kraków, nakł. wydawn. „Nowej Reformy“, 1886. w 8-ce, str. 179.

Złote myśli Jul. Słowackiego. Zebrane przez S. Lwów, 1884. str. 141.

Bartoszewski Witołd. Pojedynek, jego reguły i przykłady. Kraków, 1885.

Bibliografja.

Chmielowski. Zarys literatury polskiej z ostatnich lat dwudziestu. Warszawa, nakł. A. Gruszeckiego 1886. 8-ka, str. XV. i 348 2 rub.

Lange A. Fr. Kwestya ekonomiczna w dziedzinie społecznej. Warsz., wydawnictwo „Przeglądu Tygodniowego“, 1886. 8-ka str. 360. rs. 1 kop. 50

Engels Fr. Początki cywilizacji, na zasadzie i jako uzupełnienie badań Lewisa H. Morgana. (Bibl. dzieł treści społeczno-ekonomicznej, I.). Lipsk i Paryż, H. Le Soudier, 1885, w 8-ce, str. V. 125. . . . . 2 fr. 50 ct.

Leves J. H. Historya filozofii od Talesa do Comte'a, wolny przekład z 5-go angielskiego wyd. A. Dygasińskiego. Warszawa, nakł. A. Lesmana, 1885. I. i II. tom. . . . . . . 6 rs.

Taylor J. E. Zmyślność i moralność roślin, zarys życia i obyczajów królestwa roślinnego, z angielskiego przełożył J. K. Potocki. Warszawa, nakł. redakcji „Prawdy“ 1886, w 8-ce str. II. 232. . . . . 1 rs. 50 kp.

Wundt W. Essays. Leipzig, 1885. V. 486 pp. . . . . 7 mar.

Bruggen E. Wie Russland europäisch wurde. Studien zur Kulturgeschichte. Leipzig 1885 X. 514 str.

Elliott. The land question. London.

Gonzàlez Serrano. La sociologia cientifica. Madrid. 153 str. 2 mar.

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

wychodzi w zeszytach miesięcznych, obejmujących 4 do 6 arkuszy druku, na początku każdego miesiąca.

Warunki prenumeraty:

we Lwowie rocznie	6 zł.		
kwartalnie	1 „	50	ct.
na prowincji rocznie	6 „	60	„
kwartalnie	1 „	75	„

w Niemczech rocznie	12 marek
kwartalnie . . .	3 marki

We wszystkich innych krajach należących do związku pocztowego: rocznie 16 franków — kwartalnie 4 franki.

Adres wydawnictwa:

Drukarnia Polska, Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.